



Anioły mrużą oczy

ANTOLOGIA NAGRODZONYCH
w XI Ogólnopolskim Konkursie Poetycko-Prozatorskim
dla lekarzy i lekarzy dentystów
PULS SŁOWA

Anioły mrużą oczy

ANTOLOGIA NAGRODZONYCH
w XI Ogólnopolskim Konkursie Poetycko-Prozatorskim
dla lekarzy i lekarzy dentystów
PULS SŁOWA

Warszawa 2020

Wydawca:

Unia Polskich Pisarzy Lekarzy

Naczelna Izba Lekarska

Okręgowa Izba Lekarska w Warszawie

ZLP Oddział Warszawa

SZPZLO Warszawa Praga-Północ

Redakcja: Maria Żywicka-Luckner

Patronat medialny konkursu:

Gazeta Lekarska

Puls

Zdrowa Praga

ISBN 978-83-955228-3-3

Korekta: Elżbieta Antuchow

Opracowanie graficzne i skład: Elżbieta Zawadzka

Druk: Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia w Sandomierzu, tel. 15 64 99 700

Anioły mrużą oczy

ANTOLOGIA NAGRODZONYCH
w XI Ogólnopolskim Konkursie Poetycko-Prozatorskim
dla lekarzy i lekarzy dentystów
PULS SŁOWA

Protokół z posiedzenia Jury XI Ogólnopolskiego Konkursu Poetycko-Prozatorskiego dla lekarzy i lekarzy dentystów *PULS SŁOWA*

W dniu 16.09.2020 r. Jury w składzie: Alina Chraboń-Sura, Waldemar Hładki, Andrzej Tchórzewski i Maria Żywicka-Luckner (sekretarz) pod przewodnictwem Marka Wawrzekiewicza, po zapoznaniu się z utworami poetyckimi i prozaorskimi postanowiło przyznać następujące nagrody:

w kategorii poezja:

I nagroda – nie przyznano

II nagroda – ex aequo – **Renata Paliga** – godło *Andromeda*,
Agnieszka Rautman – godło *Arsky*

III nagroda – **Jerzy Andrzejczak** – godło *Vanitas*

Wyróżnienia:

Joanna Czajkowska-Ślasko – godło *Padova*

Witold Kopeć – godło *Promethidion*

Joanna Matlachowska-Pala – godło *Constans*

w kategorii proza:

I nagroda – **Agnieszka Kania** – godło *Drwal*

II nagroda – **Jerzy Andrzejczak** – godło *Niepiśmienny*

III nagroda – **Marzena Nogieć** – godło *Violet(t) and Scarle(t)*

Wyróżnienia i wyróżnienia drukiem:

Janusz Stanisław Czarnecki – godło *Stanisław*

Zbigniew Kostrzewa – godło *Dudek*

Stefan Trzos – godło *Tęczowa Julenka*

Jury składa podziękowanie Naczelnej Izbie Lekarskiej, Okręgowej Izbie Lekarskiej w Warszawie, Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, Związkowi Literatów Polskich, Dyrekcji SZPZLO Warszawa Praga-Północ za umożliwienie i pomoc w organizacji konkursu.

Gdy czasy zarazy dzieją się na ekranie lub w książce, potrafimy mieć do tego dystans, w realnym życiu stoimy przed prawdziwym wyzwaniem.

XI Ogólnopolski Konkurs Poetycko-Prozatorski *Puls Słowa* był dla nas takim wyzwaniem. Ze względu na zmieniającą się sytuację epidemiologiczną, a wraz z nią nowymi ograniczeniami, istniała ciągła obawa czy uda się do końca zrealizować Konkurs. Mimo wielu trudności, chyba się udało!

Za nadesłanymi na Konkurs pracami kryje się kalejdoskop literackich i życiowych doświadczeń autorów. Doświadczeń jeszcze tych sprzed pandemii, równie głębokich, równie zmieniających podejście do życia i świata.

Niech *Antologia Nagrodzonych* przeniesie Czytelników w inny wymiar, niech będzie środkiem łagodzącym niepokój i stres, bo jak pisze jedna z laureatek *szczęście krótkie jest jak życie...*

Majka Maria Żywicka-Luckner

POEZJA

II nagroda *ex aequo*

Renata Paliga – godło *Andromeda*

mówisz do mnie obrazami
pokazujesz dziewczynki ssane przez dzieci
o starych twarzach
siedzą w złotych oknach
głuche na krzyk
dla kontrastu przedstawiasz mnie różnym świętym
pamiętam takiego
który trzymał własną skórę
przewieszoną przez ramię jak płaszcz

wszyscy mają oczy wywrócone ku niebu
wypatrują bóg wie czego
w kosmosie

a przecież ja jestem tutaj
moje stopy wyrastają z ziemi razem z materią
z krzyku tworzenia

być może czas by dopuścić do głosu innych bogów
których nie będę nazywać po imieniu
których ciało nie będziegniło
przemijało w blaknących obrazach
kruszonych posągach

może proroctwo o ich nadejściu kiełkuje już
w jakimś laboratorium

nic wielkiego
zwyczajne życie

rano wstajesz pijesz kawę
idziesz do pracy
tam odliczasz godziny
co trzeba odfajkowujesz
w duchu bluźnisz pod założonym jak maska uśmiechem
idziesz do toalety żeby pobyć sobą
później znowu się uśmiechasz
wracasz do domu w którym ktoś na ciebie czeka
lub jest święty spokój
karmisz telewizor uwagą
zdecydowanie bardziej niż ludzi noszących twoje nazwisko
odpoczywasz kładziesz się w międzyczasie coś jesz
coś mówisz
ale szybko zapominasz co jadłeś i co mówiłeś
odbierasz smsy z banku oglądasz reklamy atakujące cię zewsząd
aż poznasz je na pamięć – treść i melodyjki
i odmawiasz w myślach nieskończoną ilość razy w ciągu dnia
nie zdając sobie z tego sprawy

oddychasz
trawisz
wydalasz
śpisz
budzisz się

znowu jesteś

to co mówię jest dźwiękiem
niczym innym
to co widzę jest kształtem barwą energią
niczym innym
pragnienie dłoni
staje się u kresu szorstkością piasku
wypełnia ciała ciszą

selekcja jest trudna
człowiek w swojej zachłanności bierze wszystko
co jest w stanie przełknąć
dobro i zło

przewidywanie przyszłości
grzebanie w przeszłości

podróż do wszędzie
podróż do nigdzie

II nagroda ex aequo

Agnieszka Rautman – godło *Arsky*

Być

jesteś
cząstką i falą
błyskasz między wierszami
migoczesz

ciało nabrzmiałe czułością
otwiera mosty zwodzone endorfin

błyszczysz pięknie jak
bańka mydlana

światło aksonów przenika
je na wskroś

anioły mrużą oczy
szczęście krótkie jest jak życie

Cranium

jeździ tramwajem z ludzką czaszką pod pachą
hamlet student medycyny
owinął ją troskliwie różowym ręcznikiem
wymościł gniazdko w reklamówce z lidla
śpij kubusiu śpij

czaszka ma odpilowane sklepienie
dzięki temu widać jaskinie dawnych tkanek
wyschnięte koryta tętnic
odciski sznurów nerwowych
na których kiedyś powiewały myśli
jak krochmalone prześcieradła

hamlet zagląda w puste oczodoły
bada wyrwę po nosie
szuka nieodgadnionej historii w skorupie po mózgu

czy kubuś lubił truskawki czy wolał maliny
słuchał jazzu a może Mozarta
interesował się polityką astronomią wyplataniem koszy
miał żonę kochankę kochanka
nieślubne dzieci niezapłacone mandaty kupione tytuły

czy świadomie oddał swoje ciało nauce
a może jego bezimienną czaszkę
grabarz wykopał o północy
gotował w garnku od bigosu
a potem sprzedał studentowi za pół litra

śpij kubusiu śpij
niech cię o to głowa nie boli

hamlet już wie ile warta jest śmierć
i zaczyna przeczuwać ile warte jest życie
zdał śpiewająco kolokwium z kości
bo się nauczył że wszyscy są zbudowani tak samo
chciałby jednak wierzyć że zawartość czaszki robi
różnicę

ale po wyjściu z prosektorium
hamlet ma duże wątpliwości

Nierozłączki

karmię ptaka umysłu
ziarnami ciepłych wspomnień
i przeżyć przyjemnych
jestem dla niego dobra
beze mnie nie przetrwałby zimy
zamarzłby przy ujadaniu myśli

mój ptak z wdzięcznością
śpiewa natchnione wersy

rozpościera skrzydła
i już chciałby wolność wybrać zamiast
mnie
lecz twarda czaszka stoi na straży

siedzimy w klatce ptak i ja
dopóki jest moim więźniem
żyję

Stworzenie

szukam cię w żółcieniach strzelistych słoneczników
w mgiele zapachu pomarańczy
w pokłutym niebie w duszną noc sierpniową
i w śniegu co do ciszy tańczy
wszystkimi zmysłami i o każdej porze
wyczuwam piękno w drobinie co z wiatrem ucieka
oczarowana precyzją kwantów twoich Boże
boję się człowieka

III nagroda

Jerzy Andrzejczak – godło *Vanitas*

Niedoskonałość

Nic nie jest doskonałe
Deszcz myje szyby
lecz zostawia smugi
Kawa doskonale czarna
miewa kwaśny posmak
Sprężyna szwajcarskiego zegarka
pęka na samą wieść o próbie
rozciągania czasu
Nikt nie jest doskonały
Poprawiający po deszczu
usuwa cenne refleksy
ptasich przelotów
Barista tylko maskuje
niedostatki smaku
wzorkami z pianki
Hendrik Lorentz z Lejdy
opisał rozciąganie czasu wzorem
w którym druga potęga c
pokonuje wyobraźnię
Ujmujący w słowa
całe *imperfectum* świata
też mógłby to zrobić lepiej

Atawizm

pielęgnuję w sobie atawizm
zbieractwa i plebejskich upodobań
co z tego
grzyby emigrowały z miejsc pewnych
w ogóle stały się jakieś przypadkowe
zabrakło też mistrzów masarskich
z przedwojennym dyplomem

którzy tworzyli sążniste poematy
kaszanek i krwistego
w księgach wołowych by spisywać
te szczypty soli przypraw i m a g i i
pielęgnuję w sobie atawizm
idę tropem grzybowej diaspory
do miejsc prawdopodobnych
a pewnego razu kupię
kaszy i krwi

Wenecja

Na patynę Serenissimy
wpełza osad szlamu i glonów
niedługo
parapety weneckich okien
zasiedlą kolonie ostryg
Fale wymierzają dumnym murom
głośne policzki
Odkrytym czołem przyływu
i wstecznym prądem ścieków
szczurzym sposobem
niegdysiejszej dżumy

morze wsiąka w tynk
Nurt powodzi zdaje się zmierzać
w stronę krypty Marco Polo
czy to zemsta okiełznanych przezeń wód
za rany zadane kilem żaglowca
skażenie ciszy zatok gwarem
odkrycie tajemniczych cieśnin
Miasto
śladem Aleksandrii zapada się
trochę ze wstydu trochę ze starości
Nurkowie zapalą kiedyś
swoje wodoszczelne pochodnie
i będą zwiedzać jego wrak

Nowa teoria gier

Czy w Czarnego Piotrusia
można zgrać się do nitki?
Czy feldkurat Katz
przegrałby Szwejka w makao?
A strzelił sobie ktoś w łeb
po przegranej w durnia?
Takie rzeczy tylko w pokerze –
karty dyskretnie znaczone,
w jednym rękawie as,
w drugim nóż.
Czy z talii Czarnego Piotrusia
można wróżyć?
Królem świata się zostaniesz,
miłować ciebie będą
Nie,
na cudowne spełnienia
brak w niej mocnych kolorów.
Tak,
w mojej były motyle,
imago i larwa do pary.
Rusałka Żałobnik solo.

O Duchu Rzeki. Przyczynek do

Bywa obrotem wody,
który wciąga do swojego świata,
spokojem starorzecza (więzi tam,
ale i obficie karmi ryby
od wezbrania do wezbrania)
zapachem mułu, tataraku i sitowia,
szumem na kamiennym progu
i szmerem nieśmiałego dopływu.
Oddają mu cześć
czapla ostrożnym krokiem
i drzewa skupionym pokłonem.
Żaba szuka azylu w ciszy zakola
i znajdują u niego ratunek ludzie
bez nadziei.

Wyróżnienia

Joanna Czajkowska-Ślasko – godło *Padova*

wszystkie kolory smutku

zielony pin i zielony powiedziała
dodała jeszcze
miłego dnia
choć dzień już się kończył
nawet zaczęło padać
atramentowe krople wieczoru
ciemne zacieki zmierzchu
niespiesznie spływały po szybach

na stacji benzynowej
gdzieś pomiędzy
niezapamiętanymi punktami na mapie
w jej spojrzeniu
znikał świat
a może to deszcz
zacierał kontury

ja-aktor przywdziewający
rękawiczki i maskę

ja-chirurg zakładający
rękawiczki i maskę

aby ukryć się przed życiem
lub próbować je omamić
wiarą
w iluzoryczne poczucie bezpieczeństwa
w iluzoryczną sterylność prawdy

Witold Kopec – godło *Promethidion*

Czułość

Oldze Tokarczuk

Współcześni aniołowie
utracili rozumienie buntu
który prowadzi
od negacji do nicości
i zapowiada
nowy początek

Nie poznali porywów
romantycznego serca
i nie rozpalili
wieczystych pragnień
gotowych odmierzyć
światu sprawiedliwość

Zostało w nich tylko

Serdeczne współczucie
dla istnień białych
i legend starych
w młynach historii
roztartych
na proch

I czułość dla tych
którzy w czeluściach
czarnej rzeki
żeglują uparcie
o zmroku
pod prąd

Chwila

Wisławie Szymborskiej

W życiu są tylko chwile
jak błysk fotografii
zapachy kwiatów
zamglony wzrok
porwany dźwięk
uniesień smak
i bicie serc
Lotne impresje
A poza granicą
przedłużonej
w nieskończoność
chwili
nie ma już nic
Jedynie szarość
i znużenie
Pustka bez chwili
którą napelnia
pamięć i sens
i język wiatru
zmieniony w treść
wspomnień o Pięknie

Joanna Matlachowska-Pala – godło *Constans*

Marzec

Irenie Wyczółkowskiej

Fiołków jeszcze nie ma
dziś sprawdzałam
nie ma też Ciebie
marzec wrócił – ale nie ten

wraca tylko tytuł
Twojego wiersza
brzęczy gdy szukam patrząc pod nogami
wciąż żółto i mokro

Nie odwiedzam Cię tam
w pustym miejscu
odwiedzam tutaj
– w trawie

gdy łąza wybiera się na spacer
teraz ją zapraszam – no chodź już –
niech ci będzie...

Dusza miasta

Rzeka

rano miasto rozmazane w mgle
zbiega i przegląda się w niej
jak w lustrze
Myśli miasta nurtują w duszy
od brzegu do brzegu
godziny odbijają się na powierzchni
zatrzymują się na nadbrzeżu leniwe popołudnia
Miasto upływa za zakrętem
a strażniczka dusza patrzy w dal za nim
za odbiciem

Światła miasta

zupełnie pozbawione sensu
bez duszy
a tak – kładą się na niej
drżące refleksy smugi
kolory plamki i cienie
nigdy nie gasną

2019

PROZA

I nagroda

Agnieszka Kania – godło *Drwal*

Wstęp wzbroniony

Slalom? Stajesz na starcie, słyszysz: jazda! I wpadasz na karuzelę. Spinasz mięśnie, przebierasz nogami jak ogłupiały chomik na kołowrotku. Tyczki wirują, za tobą próżnia, przed tobą szkło. Kanty piszczą, pałki tłuką, zaciskasz pięści, bronisz się przed ciosami. Nagle dostajesz kijem w nos. Złamany?! W oczach łzy, pot płynie po twarzy, skóra pęka w szwach. Gdzie ta meta? – jęczysz. Walisz rękami na oślep, wpadasz w popłoch. Za szybą wrzeszczą: hop, hop, hop! Pędzisz. Śnieżna karuzela przyśpiesza. Puściła korba czy co? Tyczki lepią się w mur. Wbijasz się w ścianę jak pocisk. Oblatuje cię strach, robisz błyskawiczny rachunek: niespisany testament, zepsuta psia buda...

Nagle jakaś siła chwyta cię za kark i wyrzuca z klatki. Leżysz na śniegu jak flak. Macasz zęby. Odklejasz powieki. Łypiesz okiem na budzik. Notujesz w głowie wynik. Zbierasz się do kupy i znów wleczesz się na start.

Po zawodach schodzisz do piwnicy, ostrzysz krawędzie, wciskasz smary, prasujesz ślizgi, słuchasz przechwałek i biadolenia, bo ktoś grzał, a ktoś pogubił rytm. Następnego dnia gigant i jeszcze jedna szansa na wygraną, na powrót do dyżurki lekarskiej z medalem i dyplomem.

Od narciarni wołałam Bad Gastein. Nie chodziło o widoki: wodospad wciśnięty między kościoł i jadłodajnię, spirale ścieżek i hotele przypięte do skał. Przyciągał mnie smutek, rozpylona w powietrzu tęsknota, jakiś niewypowiedziany żal.

Białe i czarne parkany ciągną się wzdłuż chodników, otaczają odrapane kamienice, zamykają budynki z belle epoque. Ich dachy porosły mchem, okiennice zamknięto na sztaby, drzwi zabito gwoździami. Ze szpar wylażą pomięte gazety i łachmany. Codziennie tułałam się po kurorcie. Badałam dom po domu, tak jak się bada chorego, opukuje, zagląda do gardła, mierzy temperaturę ciała i wilgotność. Patrzyłam na zagrzybione fasady, łatanie folią rynny i połamane balustrady. Przez potłuczone szyby w oknach widziałam zwinięte w rulon dywany, rozmokły parkiet i zbutwiałą boazerię. Gdzieniedzie straszły strzępy pożółkłych firan, rozbebeszone kanapy i wygryzione klawisze fortepianu.

Na środku miasteczka płaszczy się Kongresshaus, betonowy bunkier z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, chyba przez pomyłkę porzucony na deptaku. Ktoś okleił go taśmą

murarską, jakby bez niej miał się rozlecieć. Wejście na taras zastawiono prętami. Przy schodach dyndają wyblakłe plakietki: *Eintritt verboten!* Wiatr je zrywa i włóczy po pustych placach i zaułkach. Od Grand Hotelu de l'Europe do Bristolu potykasz się o podeptane, ubłocone szylidy z napisem: *Wejście wzbronione!*

A przecież Bad Gastein urosło z marzeń.

Marzenie cesarzowej

Pierwszą łaźnię pan Fritzel zarejestrował w 1350 roku. Płacił daniny, czyścił drewniane koryta, którymi doprowadzał wodę z gorących źródeł i postawił na reklamę. Toteż niedługo w jego basenie kąpał się książę Bawarii Stephan II. Prawie sto lat później termy zwałyby tu króla Niemiec Fryderyka III. Mijały lata, sława okolicy rosła, z roku na rok przybywało miłośników górskiego spa. Pod koniec XVIII wieku arcybiskup Salzburga Józef Franciszek de Paula Hieronim von Colloredo-Waldsee-Mels umyślił tu sobie rezydencję z osobną łaźnią, więzieniem dla zdrajców i dwiema karczmami. Chciał to wszystko wcisnąć pomiędzy skały i wodogrzmoty, ale w dolinie nie było aż tyle miejsca. Na szczęście jego świątobliwość był człowiekiem skromnym i zadowolił się pałacem kąpielowym, w którym połowę parteru zajęła łaźnia-ogród wyłożona zielonym żyłkowanym marmurem.

Arcyksiążę Austrii Franciszek Karol Habsburg miał tylko jedno marzenie. Pokazać światu następcę tronu. Sześć lat już minęło, odkąd poślubił Zofię Wittelsbachównę, a złota kołyska stała pusta. – Poszukaj, Panie, pomocy u źródeł – orzekli czcigodni doktorzy. Zimą 1829 roku wyruszył więc do wód. Na zmianę moczył się w basenach i flirtował z kuracjuszkami. Po czym wrócił do Wiednia, zakradł się do sypialni żony i spłodził Franciszka Józefa. Świątowała cała monarchia i świętowało Wildbad Gastein (wtedy taką nosiło nazwę), budując na wyścigi: na byle skarpach, grzbietach i polanach. Chałupy z jedną izbą i przegródką zmieniano w wille, kurniki przerabiano na karczmy, w stodołach urządzano gospody. W 1846 roku drewniana Taverna am Mittereck przeobraziła się w gigantyczny hotel Straubinger. Każdy z dwudziestu apartamentów miał swój własny pokój kąpielowy. W tamtych czasach był to nie lada luksus.

Docenił go cesarz Niemiec Wilhelm I. Aż dwadzieścia razy był w alpejskim sanatorium. Kiedy w 1888 roku umarł, miasteczko opustoszało. Zaludniły się natomiast góry. Z wiklinowymi koszykami powędrowali fryzjerzy, szewcy i druciarze, kowale, praczki i kwiatciarki, zecerzy, ludwisarze i drykierzy, doktorzy, znachorzy i hotelarze. Nawet burmistrz Karol Straubinger wyruszył na szlak. I on szukał szarotki alpejskiej. Nazbierali trzy tysiące unikatowych kwiatów i uwili cesarzowi wieniec na grób. Berlińczycy oniemieli. O Wildbad Gastein zrobiło się jeszcze głośniejsze. Nawet cesarzowa Elżbieta nazywana Sisi odwiedziła to miejsce siedem razy (w latach 1885–1893). Każdy jej przyjazd był dla kurortu świętem. Dokąd pójdzie? Kogo spotka? Czego zapagnie? Na trzydzieste piąte urodziny zażyczyła sobie tygrysa bengalskiego. I dostała. A gdyby zechciała pawiana? – głowili się mieszkańcy zdroju. Na szczęście żądała tylko kąpeli termalnych. Za to kilka razy dziennie. Oznaczało to wyścig z czasem. Specjalny beczkowóz dzień i noc czekał w pogotowiu, by na umówiony znak gnać po wodę i dowieźć gorącą do Straubingera, Marenhausa czy Helenenburga, gdzie się akurat zatrzymała.

Wildbad Gastein zrobiło się tak modne, że hotele i domy zdrojowe rosły jeden po drugim: Moser, Austria i Astoria, Habsburgerhof, Keiserhof i Salzbugerhof, Mozart, Gruener Baum i Krone, Elisabethhof, Koenigsvilla, Bristol. I Grand Hotel de l'Europe.

Marzenie architekta

Wuj Viktora Leopolda Sedlacka miał restaurację na dworcu w Linzu. Młodziak trochę mu pomagał: doglądał kucharzy i poganiał kelnerów, ale najbardziej lubił włóczyć się po Alpach. Około roku 1900 wylądował w Wildbad Gastein.

Wąłęsał się po miasteczku, wreszcie stanął przed willą Solitude. Widział stąd ośnieżone szczyty i wodospad, wstęgę rzeki i strzeliste wieże kościołów w dolinie. Zaprzagnął mieć tę posiadłość. Czy się targował? Czy przepłacił? A może wdał się w romans z córką niemieckiego adiutanta Anną Pauliną Freifrau von Schroeter? W każdym razie kupił od niej piętrowy dom, a do tego jakieś półtora hektara ziemi.

Potem zwabił tu architekta. Matthias Schlager dopiero co wkomponował w miasteczko Wels nad rzeką Traun neoromański kościół i chciał od świętych odpocząć. O kurorcie słyszał co nieco, spakował więc wełniane swetry, buty do wspinaczki i pojechał. Całymi dniami laził po okolicy, gramolił się na wierzchołki Stubner-Grau- i Ankogel, do pokoju wracał zmachany, brał szybką kąpiel i siadał do szkiców. Do późna w nocy coś tam poprawiał, kreślił, darł kartki i zaczynał od nowa. Wreszcie zaprosił Sedlacka, rozłożył na stole plany i zaczął opowiadać. Mówił długo i z przejęciem o reprezentacyjnym wejściu od strony Kaiserpromenade, o potrójnych drzwiach ocienionych gankiem, o balkonach na fasadzie frontowej, które będą udawać zwężający się ku górze żabot. Opowiadał o lukarnach na dachu i o iglicy na wieży zegarowej.

– Z zegarem czas płynie szybciej – zadumał się Sedlacek.

– To urwiemy mu wskazówkę – uciał architekt, zwinął plan w tutkę i pokazał kolejny rysunek. Sedlacek zdębiał. W miejscu poszarpanej skały zobaczył gmaszysko. Okna, okienka, balkony i balkoniki pięły się po ścianie jak bluszcz, od Szarej Rzeki na dziesięć pięter w górę.

– Rozwaliłeś górę?

– Wyprostowałem. Strasznie się garbiła.

– Miałeś wymyślić hotel, nie wieżowiec!

– Połowa zgubi się w skale. Będą cię odwiedzać dyplomaci, królowie i cesarze, szachowie, malarze i pisarze, tancerki, aktorki i podrywacze. Gdzie ich wszystkich upchasz?

– Ile to będzie kosztować?

– Jakies dwa miliony koron, może trochę więcej.

– Taka prowincja. Gdyby to był Linz albo chociaż Wiedeń....

W roku 1906 budowa ruszyła.

Mieszkańcy kurortu slali do burmistrza skargę za skargą: Pan Sedlacek odpala dynamit. Niszczy nasze domy. Od wybuchów pękają szyby w oknach. Sypią się tynki. Kruszą fundamenty! Karol Straubinger słuchał żalów, ale robót nie wstrzymał.

Przez nowiutki dworzec kolejowy w Bad Gastein (tak ochrzczono miasteczko w 1906 roku) przetoczyło się osiemset pięćdziesiąt osiem wagonów, każdy obciążony dziewięćcioma tonami pustaków, cegieł, rur, kabli, desek i granitów, złożonych kolumn, kryształowych zwierciadeł i wanien na lwich łapach. Zwerbowano cieśli, stolarzy i murarzy, kamieniarzy, zdunów i dekarzy, malarzy, rzeźbiarzy i elektryków, krawców i tapicerów, kanalizatorów, operatorów dźwigów i speców od nowoczesnych technologii, bo w każdym pokoju miał być telefon. Wreszcie mistrz budowlany Angelo Comini ogłosił koniec robót. 29 maja 1909 roku Grand Hotel de l'Europe otworzył się dla gości.

Zapytajcie lepiej, kogo tam nie było. Władca Arabii Saudyjskiej Ibn Saud i król Iraku Fajsal I, Wilhelm von Opel i król kolei żelaznej Edward Henry Harriman, pisarz Heinrich Mann, kompozytor Robert Stolz i dramaturg William Somerset Maugham. Księża gości przypominała poradnik „kto jest kim” w wielkim świecie. Do Grandu wypadało przyjechać na miesiąc, wynająć całe piętro i przegrać fortunę w kasynie. W dobrym tonie były fochy do obiadu: Znów pstrąg w sosie holenderskim? Czy to powtórka z zeszłego sezonu? Albo: Wątróbka z gęsi zbyt krucha, rosół po królewsku ma za duże oka itd. itp. Kelnerzy wiedzieli, jak udobruchać maruderów, przewracali oczami, uśmiechali się przepraszająco i zapewniali, że swoje napiwki przeznaczą na sierociniec w Linzu.

Marzenie weterynarza

Jeszcze 10 marca 1938 roku liczone na pomyślny wynik plebiscytu. Przecież dopiero co kanclerz Austrii wygłosił w Innsbrucku płomienną mowę, w której nawiązał do słów tyrolskiego bohatera: „Obywatele, godzina wybiła!”. Służący powtarzali jego słowa pokojówkom, pokojówki lokajom, lokaje odźwiernym, portierom i kucharzom. Goście hotelowi (w 1920 roku Zygmunt Freud pisał z letniska w Bad Gastein: *Co się tyczy towarzystwa, jest mieszane: pięćdziesiąt procent Żydów, pięćdziesiąt procent Żydówek*), zebrali się w Salonie Nibelungów. Czarny fortepian milczał. Niczym tłusta mucha rozkraczył się na miękkim, czerwonym dywanie. Zdawało się, że ożyły przyklejone do ścian obrazy braci Rothaugów. Słychać było, jak Zygfryd wykuwa miecz Nothung, jak żegna księżniczkę Krymhildę i jak jego bezwładne, martwe ciało uderza o ziemię.

– Może i my należymy już do krainy mgieł? – Eleonora szybko odsunęła tę myśl od siebie.

Przecież przez otwarte okna dochodziły nawoływania *Heil Schuschnigg! Heil liberty!* Eleganckie panie i panowie rozparli się w pluszowych fotelach przysuniętych do radia, ciężkiego, angielskiego odbiornika z podziałką, na której wypisano europejskie miasta. Słuchano wystąpienia kanclerza. Pobrzękiwały kryształowe kieliszki. Na inkrustowanych stolikach tłoczyły się filiżanki o fikuśnych uszkach i porcelanowe spodeczki z cytryną. Kuracjusze nieśpiesznie popijali herbatę i reńskie wino, przekonani, że ogromna suma pięciuset tysięcy szylingów, równowartość osiemdziesięciu tysięcy dolarów, ofiarowana przez Israelitische Kulturgemeinde na cele kampanii wspierającej plebiscyt, ocali Austrię.

11 marca nad ranem dowódca wiedeńskiej policji obudził Schuschnigga wiadomością o przegrupowaniach wojsk niemieckich na granicy.

– Są ich tysiące.

– Przyszły jakieś depesze z Londynu lub Paryża? – dopytywał kanclerz. Czekał na sprzeciw rządów Anglii i Francji. Przecież nie oddadzą jego fotela temu naziście.

Koło południa IKG dołożyła jeszcze trzysta tysięcy szylingów na kampanię. Na próżno. O siódmej wieczorem Wiedeń ogłosił odroczenie plebiscytu. Kilka minut później podano wiadomość o dymisji całego gabinetu z wyjątkiem sympatyzującego z nazistami ministra spraw wewnętrznych Arthura Seyss-Inquarta.

Za dziesięć ósma Schuschnigg wygłosił transmitowane przez radio orędzie do narodu. *Austriacy i Austriaczki! Dzisiejszy dzień postawił nas w obliczu sytuacji dramatycznej, decydującej o losach naszego kraju [...]. Rząd Rzeszy niemieckiej przedstawił Prezydentowi ultimatum wzywające, by na urząd kanclerza wyznaczył kandydata wskazanego przez władze Rzeszy [...] w przeciwnym razie [...] oddziały niemieckie natychmiast przekroczą granicę. [...] Ponieważ nawet w tej godzinie próby jesteśmy przeciwni przelewowi niemieckiej krwi, wydałem armii rozkaz, by w razie inwazji wojsko nie stawiało oporu i oczekiwano na decyzje, które zapadną w ciągu najbliższych godzin [...]. W tej godzinie, rozstając się z narodem austriackim, powtarzam niemieckie słowa, w nadziei, że zostaną wysłuchane: Boże, chroń Austrię.*

I nagle wszystko się zmieniło, jakby ktoś przekręcił zwrotnicę. Kelner potracił baronową, lokaj upuścił płaszcz doktora, wyskoczył na ulicę i wmieszał się w tłum z pochodniami. Tej nocy ludzki wodospad przelał się od zajazdu Leimboeck (dziś Fischerwirt) do Kaffee Wien (dziś Oberbank). Procesja falowała, napierała i wrzaskami *Heil Hitler!, Sieg Heil!, Sieg Heil! i Judenraus!, Judenverrecken!* zagłuszyła prawdziwy wodogrzmot. Zakrzyczała hektolitry wody spadającej z trzystu czterdziestu jeden metrów!

Anna Kerschraumer opowiadała: *Pogasililiśmy światła. Schowaliśmy się za zasłonomi. A oni szli i pluili w nasze okna [...]. Straubinger kazał mojemu mężowi zerwać plakaty*

Schuschnigga. Starego Lassinga (socjaldemokratycznego burmistrza Bad Gastein w latach 1926–31) wyciągnęli z domu. Poszturchiwali i prowadzili ulicami jak przestępcę: dwóch z przodu, dwóch z tyłu.

Następnego dnia Bad Gastein zaczęło się urządzać od nowa. Przywódcą miejscowej partii faszystowskiej był weterynarz Arnulf Meisinger. Dzierżawił skromny lokal w banku kredytowym przy Boecksteinerstrasse. Przyjmował tylko dwie godziny dziennie od jedenastej do trzynastej, miał więc sporo wolnego czasu. Z zapalem zabrał się do czyszczenia kurortu. Ileż to razy iskał żydowskie pieski: harty afgańskie, spaniele, szpice. Odgarniał długą sierść, namierzał pchły, zakleszczał między paznokciami i miażdżył. Małe ciała skwierczały i pluły krwią. To samo zrobi teraz z Żydami. Trzeba wylapać i zmiażdżyć to robactwo, zanim się rozpleni.

Nie musiał ich szukać. Garnitury kupowało się u Kreisky’ego albo Koeniga, futra u Horovitza, dolary u Steiningera. Tekstylią sprowadzał z Mediolanu Isidor Rosenberg, cymes wołowy jadało się w hotelu Bristol u Maxa Kokischa. Spróchniałe kły koncertowo (oprócz dentystyki ukończył konserwatorium) wyciągał Walter Suess. Trzask prask i wymachiwał korzeniem. Nie to co Hertha Wegenbichler z placu Mozarta albo Hans Fuchs, który prowadził studio dentystyczne naprzeciwko kościoła. Szarpali, dłubali, a ząb ani drgnął.

W razie choroby wołało się doktora Wassinga. Nigdy nie odmówił. Od biedaków nie brał złamanego szylinga. To on uleczył króla Belgii Leopolda, on przegonił ospy, grypy i francie, które nawiedziły Bad Gastein. Z Zygmuntem Freudem dyskutował o psychoterapii. Z uczonym Hatschekiem – profesorem biologii na uniwersytecie w Wiedniu, włóczył się po górach, zbierał badyle, patyki i chwasty, później oglądał je pod lupą i ucierał w mózdzierzu. Piwnicę swojego domu zdrojowego przy promenadzie cesarza Wilhelma, zastawił słoiczkami i buteleczkami, pudełkami i puszkami, trzymał w nich proszki i pigułki, ekstrakty i balsamy, trociczki i oleje, maści i plastry, wódki i spirytusy, elakuaria i konfekty, konserwy, likwory, syropy, octy i esencje. Jedna łyżeczka specyfiku potrafiła postawić chorego na nogi. Mieszkańcy uzdrowiska go uwielbiali.

Nie przeszkodziło im to jednak wyrzecć mu posiadłość i wypędzić doktora z Bad Gastein.

Marzenie doktora

W letnią noc roku 1938 rozległ się przeciągły dzwonek do drzwi. Antoni Wassing wyskoczył z łóżka; pewnie ktoś zachorował. Usłyszał łomot i trzask rozbitych szyb. Było ich sześciu, jeszcze chłopców. Rudego poznał, kiedyś wyleczył go z kokluszki. Z wraskiem wpadli do salonu. Ktoś bębnił w klawisze fortepianu, ktoś grzmotnął klarnetem o blat stołu. Wyrzucili książki z regałów i zerwali ze ścian grafiki. Rozbiegli się po jadalni, przewrócili srebrne kandelabry podtrzymywane przez chochliki, strącili z kominka zdjęcia rodzinne, podeptali dwie żony doktora: zmarłą Karolinę i jej siostrę Paulinę (7 lutego 1943 roku zostanie zamordowana w Terezynie). Kopnęli zegar z kukułką, poturczęli marmurowego aniołka, wywlekli na środek witynę pełną porcelanowych figurek: Dawidów, faunów i sylenów, Persefon, nimf i syren.

Skierowali się do gabinetu doktora. Grzebali w biurku, zabrali srebrną papierośnicę i spięte spinaczem banknoty. Ze sterty listów wypadł złoty nożyk do otwierania kopert i zniknął w czyjejs kieszeni. Wyłamali zamek w archiwum, wertowali kartoteki pacjentów, szperali w szufladach, czytali zapiski, jakby szukali dowodów. Wypadli na korytarz, brali po kilka schodów, byle szybciej na piętro, chcieli jeszcze zajrzeć do pokoi gościnnych. Pod 17 mieszkał ten Żyd Freud i układał „Poza zasadą przyjemności”.

Oni czerpali oszałamiającą przyjemność z samowolnej aryzacji. Znali ten dom, nie raz przychodzili tu po leki. W głębi duszy nienawidzili doktora, tego czarownika od przepowiedni

i ziół. Skąd tyle wiedział o ludziach? O ich lękach i bolączkach? To na nich się wzbogacił. To oni zapłacili za te dywany, lustra, żyrandole, kute balustrady i tapety w kwiaty, za fotele na krętych nogach, łoża, baldachimy, złożone ramy, intarsjowane gabloty i bieliźniary. Ta noc była zadośćuczynieniem. Wciekłość wzbierała w nich przez lata. Żydzi panoszyli się w najlepszych hotelach, tańczyli fokstrotą i twistą. Nareszcie 25 czerwca 1938 roku „Gesteiner Blatt” ogłosił, że *zabrania się Żydom przyjazdu do kurortu*.

Willę Wassing oszacowano na dwieście tysięcy reichsmarek. Ale w maju 1940 roku doktor musiał „sprzedać” swoje domostwo za osiemdziesiąt tysięcy RM. Na jego konto wpłynęło tylko siedem tysięcy RM, reszta poszła na podatki od aryżacji. Nawet tych pieniędzy nie mógł wypłacić. Bo jak wszyscy Żydzi miał zablokowane konto.

Nowi właściciele przemianowali willę na: Hotel Goldeck, czyli Złoty Zakątek. Stosowna nazwa. Rodzina Straubingerów ubiła przecież złoty interes. Pod koniec XIX wieku Karol, ówczesny burmistrz Bad Gastein, drogo sprzedał grunt. Ziemię i widok na szczyty Alp kupił Antoni Wassing – świeżo upieczony lekarz. Natychmiast dogadał się z nadwornym architektem Straubingerów – Józefem Wessickenem. Doktorowi marzył się duży dom zdrojowy. Secesja w najszlachetniejszej odsłonie. Za niedługo oddał i ziemię, i widok, i willę za pół darmo Straubingerom.

Wymarzony tatuś

10 kwietnia 1938 roku odbył się plebiscyt. Spośród 2416 uprawnionych do głosowania mieszkańców Bad Gastein (Żydzi i więźniowie polityczni nie mogli głosować) 2385 chciało przyłączenia Austrii do Wielkiej Rzeszy. 31 osób nie poszło głosować. Tylko jeden człowiek się nie zламаł. I dał powód do fety. Kuśtykający, wyleniały osioł, pożyczony od jakiegoś rolnika, galopował po mieście i ryczał oszołomiony. Na jego szyi dyndała kartka: ICH SAGTE NEIN. Dzieciaki targały zwierzaka za uszy, poganiały kopniakami i krzyczały *Dummkopf!*, *Dummkopf!*

20 lipca 1938 do Bad Gastein przyjechał doktor Józef Goebbels. Miasteczko oflagoowało się swastykami i wybiegło na ulice. Były oklaski, głośnie *Sieg Heil!* i *Heil Hitler!* Srebrzysty kabriolet mercedes benz 770 z silnikiem R8OHV wtoczył się pod Hotel de l'Europe. Kamerdyner usztywnił plecy i pochylił się jak wskazówka taktomierza. Goebbels – ciasno zasznurowany krawatem, garnitur w kolorze karoserii i kapelusz z czarną lamówką – zmierzył wzrokiem rozhisteryzowany tłum i rozmył się w kryształowych drzwiach Grandu. Niedługo potem wyjechał.

Za to marszałek Rzeszy Hermann Goering, umiał się zachować. Latem 1940 roku wysłał do luksusowego spa dla Niemców (tak się mówiło wtedy o Bad Gastein) swoją żonę i córkę. Emmy (lat 47) i Edda (2 lata) zamieszkały w Keiserhofie. Przez miesiąc z okładem miały dla siebie całe piętro, siedemnaście pokoi. Widać nie lubiły tłoku. Na dodatek z rezydencji Carinhall pod Berlinem przywiozły łoża, dywany i jakieś kradzione obrazy (w samej Polsce Niemcy zrabowali pięćset szesnaście tysięcy dzieł sztuki).

Goering wpadał do kurortu. Gruby i zwalisty paradował promenadą i błyszczał: pstrokaty mundur, diamentowa swastyka i medale jak rybnie łuski – Wasza Ekscelencjo! – zaczepiały go kwaciarki – może bukiecik dla księżniczki Eddy? I kupował fiołki, bławatki i różyczki, stokrotki, ostróżki i goździki. Był z niego wymarzony tatuś.

Udał się sezon roku 1940. W Bad Gastein rezydowało tysiąc trzystu gości z Niemiec, wysokich rangą dyplomatów i ministrów, ambasadorów i prawników, a także ich ciotki, bracia i kuzyni stryjeczni. Zdrój omijały bomby. Co prawda dyrektor uzdrowiska Heinrich von Zimburg skarżył się na niewyglądzone maniery kuracjuszy: spóźniają się na koncerty, szeleszczą w teatrze i targują się z przekupkami, lubią festyny, orkiestry dęte i wojskowe parady, cały ten

pop. Ale hotelarze zacierali ręce i sumowali zyski. Darmowych pracowników mieli na pęczki. Dookoła roilo się od obozów jenieckich. Belgów upychano w kuchni, Francuzi sprawdzali się jako kelnerzy, Polacy glancowali pokoje, Włosi nabłyszczali parkiety w salach balowych, Czesi szorowali piwnice, Serbów zagoniono do budowy mostów, a Rosjan do kopalni. Mieli dotąd fedrować, kopać i wiercić, aż natrafią na złoto. W 1557 roku z głębin Radhausbergu wydobyto aż osiemset trzydzieści kilogramów złota i dwa tysiące siedemset dwadzieścia trzy kilogramy srebra! Złotonośne żyły chyba nie wyschły. Wychudli i pryszczaci ludzie w pasiakach zapuszczali się coraz to głębiej i głębiej, przeczesywali korytarze, pieczary, jaskinie, przecierali nowe szlaki, drenowali zatłkane tunele. I natknęli się na coś cenniejszego niż złoto...

Marzenie hotelarzy

Tuż po wojnie w Bad Gastein znów pojawili się Żydzi. Żaden Rockefeller czy Freud, tylko Chajjat, Tabach. Percec, Bencef, Hajfec, Tiktiner. I chyba Duval. W Austrii i Straubingerze, może nawet w Grand Hotelu de l'Europe rozplenila się biedota. Ocaleni. Kurort ich nie chciał. Wypędził sztetle.

Tylko skąd wziąć gości? Zbrodniarze wojenni połknęli truciznę, albo zwiali do Ameryki Południowej, na bogatych Żydów też nie można było liczyć. Ktoś przypomniał sobie kopalnię.

Uczonych ściągnięto z Innsbrucka. Wsiadli do rozklekotanej kolejki i zjechali pod ziemię, jak tamci ludzie w pasiakach. Zamiast młotów i kilofów mieli fiolki, pipety i słoiczki, radary i czujniki. Przeczesywali tunele, łapali we flaszki powietrze, skrobali głązy i zbierali kamienie. Potem wrócili do swoich laboratoriów, coś tam filtrowali, odsączali, farbowali, wreszcie ogłosili, że kopalnia leczy. Goi liszaje, suszy krosty i egzemy, uśmierza bóle w kościach i luzuje napięte mięśnie.

Przybyli pierwsi pacjenci: cherlawcy, kostropaci, suchotnicy. Witano ich po królewsku. To oni zaludnią wymarłe hotele, ożywią gorące źródła, poruszą kasyna, obudzą kafeterie, wypompują stacje benzynowe i zagracą lombardy. Ci garbaci, paralitycy i kulawi będą malować, komponować, romansować, spiskować, knuć, podjudzać, węszyć i politykować. Bo polityka na wysokim szczeblu zawsze była jedną z głównych specjalizacji spa. To oni obudzą Bad Gastein.

Slalomem kluczylaam po kurorcie. Start przy kryształach, w których rozmył się Goebels. Wzdłuż willi Exclesior (dawnego domu doktora Wassinga). Ostro w dół. Pod hotelem Straubinger poślizgnęłam się i wyrznęłam o ziemię. Pomacałam zęby, odkleiłam powieki, wbiłam wzrok w fasadę, całą w krostach, grzybach i liszajach. Zebrałam się do kupy, powlekłam pod opustoszały, zabity dechami Badeschloss hrabiego von Colloredo. Skręt w prawo, w lewo i rozkraczyła się meta – betonowy Kongresshaus. Też oplastrowany zakazami.

Budynki w centrum Bad Gastein kupił na przełomie XX i XXI wieku Franciszek Duval. Gdyby komponował, pewnie umieściłby w symfonii echo smutnej trąbki i aroganckie militarne werble, śmiech niepozornych uliczek sztetli, jarmarczne piszczałki i animusz parad wojskowych. Ale Duval był Królem Garaży, specem od nieruchomości. Pozbierał więc co cenniejsze budowle i oflagował zakazem wstępu.

II nagroda

Jerzy Andrzejczak – godło *Niepiśmienny*

Kula

Człowiek ten poruszał się o kuli. O kuli u nogi. I to od dość dawna, decyzję więc czy kulę pchać, czy ciągnąć, miał już za sobą. Pchanie kuli jest lepsze, byle ostrożnie, bo można kulą w płot, albo kulę w łeb. Za tę dłoń podniesioną nad Polską. Zaraz, zaraz, jaką dłoń? Rękę. A ręka ma dłoń i grzbiet, tak jest w anatomii. W anatomii jest też, że dno ma się u góry – dno macicy, dno żołądka... Anatomia prawidłowa, a dno u góry, no, no... A z tą kulą to w ogóle Krzyż Pański, bo nim się pchnie, trzeba unieść. Tak przy okazji, to pchnięcie zadaje się szpadą. I jak się kulę uniesie, to jej ciężar jest proporcjonalny do długości łańcucha. Nie wprost, ale proporcjonalny. A tęsknota rośnie wraz z kwadratem odległości. Takie prawo, nie pamiętam czyje. Z tą dłonią też dziwnie, bo jest rodzaju żeńskiego, a rym tworzy męski...

Ale miało być o człowieku. O człowieku, który poruszał się... A skroń, ta sama historia, poetyckie to, rymów niewiele, dłoń skroń lepiej nie – gramatyczne, grafomańskie. Słoń – zgodność rodzaju rymu z rodzajem gramatycznym. Ale słoń w sumie mało poetycki. Jak tu się zgadza, to tam nie pasuje. Za dużo zmiennych, jakby powiedziały ten od prawa o tęsknocie.

A miało być o człowieku. O człowieku, który poru... Ale mi się wżarła w rękę zieleń chwastów... Nie, w dłoń mi się wżarła. Niby susza, a chwasty rosną, a po rękawiczki iść się nie chciało... O, a skąd tu w krzakach kula? Może pchnę i ja, tak na próbę. Najpierw trzeba natakować rękę... dłonie... Nawet nie taka ciężka... Co jest, ja pchnąłem i ja się przewróciłem?! Widocznie zapomniałem o łańcuchu...

Do Warszawy

Postawi mi pan piwo? Chyba zero procent, albo co najwyżej *radlera*! Jestem już pełnoletnia, tylko dobrze się trzymam.

No i po co się tu zatrzymałem? Nie dość, że nie mają espresso, to jeszcze ta małolata...

Nie rozpijam dzieci i młodzieży, daj spokój, dziewczyno. Postaw, mogę pokazać dowód. A od kiedy to jesteśmy na ty? Od daj spokój dziewczyno. Postaw i najlepiej stąd zabierz. Dokąd? Do Warszawy! Przecież jesteś z Warszawy, chyba, że zajebałeś auto na warszawskich blachach. To źle ci tutaj? Źle. Może się ktoś będzie martwił, że wyjechałeś? Nawet się nie skapną. Chłopaki też nie? Oni chcą tylko zakisnąć ogóra. Nic nie umieją. Przystawiali się? No...

Ale nie chciałam, kopałam po jajach! Żaden ci się nie podoba? Młodzi, zawsze gotowi... Żaden! Tylko nachlać się i zakisnąć. Jakby się się położyli na wznak pod kołdrą, to by wyglądali jak wielkie pole namiotowe. No to rzeczywiście, trudno się zakochać, chociaż co kto lubi. No... A ty mi wyglądasz na takiego, co umie jak na filmach, ale nie na pornosach. Chyba bym się nie broniła, jak byś się dobierał!

No nieźle, mam powodzenie, ale w razie czego i tak będzie, że to ja molestuję.

A żonę masz? Mam. Ładna? Ładna. Wykształcona? Wykształcona. Dziecko? Mam. Kurwa, to chyba nie mam szans... Ale nie bój nic, nie rozpierdolę ci rodziny, po prostu podrzucę mnie do Warszawy. Czemu nie bliżej, to jeszcze jakieś 150 kilometrów... Szkoda, kurwa, że nie dalej!

Co z nią jest?! Skąd ten język, ta agresja?

Dlaczego ty taka jesteś, dlaczego tak mówisz? Rzeczywiście, chyba potrafisz przyłożyć. A uświadomiona jesteś w najgorszy sposób. No już nie wychowuj... U nas tacy wszyscy, a jak ktoś ma ambicje, to się jeszcze bardziej wkurwia, przepraszam, denerwuje. Jedziemy?

O, widzę, że nie używasz nawigacji! To ja ci powiem – za jakieś 500 metrów skręć ostro w prawo, będzie krócej, tyle że wąsko. Na gminne dożynki położyli nowy asfalt, ale ten ważny i tak nie przyjechał. Skąd wracasz do tej Warszawy? Ze Starych Jabłonek, z konferencji. Bardziej rządowej czy naukowej? Naukowej. To co robisz w życiu? Próbuję leczyć ludzi. Co tak nieśmiało?! Jesteś lekarzem? Ostatnio nie mamy dobrej prasy. Jak ja bym była lekarką, to bym się z dumy darła na cały świat: ludzie!!! Tu uważaj, za zakrętem znowu jest gospoda, pijaki łążą po drodze... A ty jaką szkołę skończyłaś? Na kelnerkę się wyuczyłam. No to oboje robimy w usługach... Ale ja nie mam roboty! A w tym barze nie było? Może i by była, tylko co to za robota – donosić połówki gorzały i dawać się macać po dupie?

Ambitna!

A bo widzisz, trzeba przybrać taką postawę, żeby cię nikt nie śmiał macać, nawet po paru wódkach. Na początek wygląd – po co te krótkie spodnie i kabaretki, żarówiasty makijaż i kolorowe paznokcie, pewnie sztuczne, jak się tam one nazywają?... Znowu ta drętwa mowa, współczuję twojemu dzieciakowi... Nie podobają ci się? Po kolei, jak w książce, żeby się proboszcz na tęczę wkurwił, pan wybaczy, zdenerwował.

I bystra!

Później język, zresztą na pewno was uczyli... Skąd miałaś pieniądze na to wszystko? Z wypiski z bidula... ..A potrafisz tak nosić talerze, po kilka w każdej ręce? Po trzy. A widziałaś te kelnerki na Oktoberfeście, w Monachium? Ile one litrowych kufli dźwigają w garści? Najdalej byłam w Olsztynku. W telewizji czasem pokazują. Widocznie ktoś przełączył na inny kanał.

Tak, nie zabrałbym – cham, zabrałem – nedorobiony Pigmalion... A chciałoby się powiedzieć o *Zaklętych rewirach*, o *Jak obsługiwałem angielskiego króla*...

Wracając do twojego zawodu, to gdyby ci się udało zdobyć pracę w dobrym lokalu, powinnaś przeczytać chociaż dwie książki... Teraz ty daj spokój... z książkami! No to przynajmniej obejrzej filmy nakręcone na ich podstawie... A jest tam o miłości?

Nie tędy droga. Ta panna Eliza też wymagałaby czasochłonnej edukacji.

Bo dawać dupy to można przy szosie... Masz jakieś fajne płyty? A co jest dla ciebie fajne? Coś skoczego... To raczej nie, mam muzykę poważną, trochę jazzu... I was to nie nudzi? Ale możesz puścić, ja i tak zaraz zasnę. Zanim to nastąpi – jak ci właściwie na imię? Nie widać literek na palcach? – Eliza...

Dla Elizy... Hm, co ona robi w tej wymarzonej Warszawie, sama... Przecież nawet żadnego kufierka nie zabrała. Jakaś saszetkę ma na szyi – rzekomy dowód i resztki „wypiski”? A już tego makijażu na pewno nie zmyje. Na to trzeba by całej paczki wacików i z pół litra czegoś tam w płynie... Te koła przy uszach, te tatuaże...

Stoimy? Tak, jak zwykle korek przed miastem. Chrapałam? Nie, tacy młodzi jak ty raczej jeszcze nie chrapią. A ja właśnie, że chrapię, mam migdały. Chyba, że tak, przerośnięte migdałki. Gdzie chcesz wysiąść, jak już dojedziemy? W samym środku miasta! Dobrze, wysadzę cię na rogu Nowego Zjazdu, podejdziesz na górę na Plac Zamkowy i możesz iść albo na Stare Miasto, albo na Krakowskie Przedmieście – prawo-lewo. Szukaj w oknach ogłoszeń „zatrudnimy kelnerki”. Ale gdzie przenocujesz, to nie wiem. Niedzielę sobie wybrałaś na podbój stolicy... Mówiłam, nie bój nic, dam sobie radę. Jak wy tu się nie zgubicie na tych rozjazdach, to ja też nie wiem... W dodatku chce mi się siku.

Jak ty się nie zgubisz. Powinienem cię uspić i z powrotem odstawić do twojego byłego PGR-u.

Na następnych światłach ostrożnie wysiądziesz i pójdziesz tak, jak mówiłem... I niech pan i na siebie uważa!

Chyba popełniłem jakieś przestępstwo. Oby tylko nikt nie spisał numerów, kiedy wsiedliśmy do samochodu. Co prawda nie wyglądało to na porwanie, ale...

Usiądźmy gdzieś na parę minut, tylko nie w środku, lepiej pod parasolem. Znowu ten upał, w szpitalu nie do wytrzymania! Po dyżurze? A do Starych Jabłonek jesienią się wybierasz? Jak co roku. To pojedziemy razem, twoim, czy moim autem. Dobra, przy okazji opowiem ci, jaką w ubiegłym roku miałem przygodę po drodze...

Czy mogę postawić panu piwo, panie doktorze?

Niepiśmienny

Myślał o niej intensywnie, myślą niby ją przywoływał, ale nie, przecież nie usłyszy, niby czekał, ale nie, przecież nie przyjdzie. I wracał stamtąd, od tych myśli, do pisaniny.

Jest wśród ludów północno-południowych taka legenda: Słońce to jajo, które znosi olbrzymia kura. Do zenitu wschodzi ono siłą kurzej ekspulsji, a później, do zmerch, stacza się bezwładnie.

Znowu zaczął myśleć. O tym, co jest poniżej linii obojczyków i powyżej dolnego brzo- gu sukienki przed kolana. Trochę się karciał za nadużycia wyobraźni potrzebnej do pisania. I znowu do niego wracał.

Znoszenie, wznoszenie i staczanie się jaja zgodne było z codzienną obserwacją trudo- wów wschodu, dochodzenia zenitu i bezradności wobec schyłku. Mądrość tysiącletniej cywilizacji, która nie osiągnęła niczego wielkiego prócz jedności ze światem.

Wyobrażał sobie, jak siada, jak sukienka skraca się do połowy uda, krzyżują się nogi – raz prawa nad lewą, raz lewa nad prawą. Krótka chwila szansy na głębszy wgląd.

O tych północno-południowych ludach nie wiadomo poza tym prawie nic – ani jakim mówią językiem, ani czym się zajmują, ani czy wiedzą coś o nas. Krążyła tylko pogłoska, że niezależnie od innych, dawno temu, wynaleźli koło i po jakichś stu latach jego używania porzucili swój wynalazek z pogardą. Wszyscy zgodzili się z poglądem, że nie należy ułatwiać sobie życia.

Myślał o niej od kiedy zobaczył ją raz w tym bistro wychodzącą z kawą na wynos i croissantem. Resztę obrazu dopracował sobie w głowie metodą obróbki tego jedyne go skanu. Od tej pory często przesiadywał przy stoliku w głębi lokalu, z twarzą bładoniebiesko podświet- loną monitorem komputera. I tylko tu potrafił pisać.

Ludy wschodnio-zachodnie także mają swój mit założycielski, hybrydę chińskiego o stworzeniu świata, którego dwa razy trzeba było dokonać i greckiego o autochtonach, silnie zerotyzowanego.

Rankiem tego dnia nie musiał myśleć, ani rozgrzewać wyobraźni. Usiadła obok niego dokładnie taka, jaką widywał na swoich hologramach, z górną i dolną granicą poznania, z nogą prawą na lewej. Czy zapytała o wolne miejsce, czy odpowiedział tak?

W micie ludów wschodnio-zachodnich także podkreśla się moc boskiego nasienia oraz kobiecą skłonność do łamania nakazu milczenia. Krople zapładniają glebę, a kobieta zakłóca ciszę i skupienie kreacji.

O czym pan pisze? I to tak zaraz, wprost z głowy na klawiaturę? Inaczej nie umiem, właściwie jestem niepiśmienny. Znam litery, ale nie potrafię pisać. Te zawijasy, łączenia. A tu wystarczy naciskać klawisze. Wskazał na podanie o lokal zastępczy – pod drukowanym tekstem widniały tradycyjne trzy krzyżyki. Z udawaną obojętnością, głupio i ryzykownie, z obawą, że sobie pójdzie, wrócił do pisania.

Wschodnio-zachodni z rozmysłem nie wynaleźli niczego. Byli odkrywcami, którzy znakomicie odczytywali użyteczność przypadkowych przedmiotów i ukształtowania terenu. Nie ulepszali rzeczy ani przez gięcie, ani przez prostowanie, nie łupali, nie ciosali, nie ostrzyli, nie budowali. Nie kusiło ich więc, aby burzyć.

Czekała jednak cierpliwie na moment między końcem akapitu a początkiem namysłu nad następnym. Niezrażona jego dziwną przypadłością przysunęła się bardziej do stolika i zmieniła ułożenie nóg. Siedziała nieco bokiem, tak by podczas kolejnej zmiany nie uderzyć kolanem o spód blatu. Mogę, i już przesuwiała tablec odrobinę w swoją stronę. Proszę pisać dalej. Ale jak tu przywołać skupienie tworzenia?

Na styku wpływów północno-południowych i wschodnio-zachodnich znajdowała się wyspa. Każda z kultur dostrzegała na swoim horyzoncie jej zamglony zarys. Wyspa nie była bezludna. Zamieszkiwała ją jakaś niesamowita etniczna mieszanina, na dodatek niespokrewniona z żadnym z sąsiadów widocznych spoza każdego z jej horyzontów...

Wątek opowieści urwał się nagle, bo nie sposób było nie spojrzeć niby tylko w jej stronę, a wkrótce i na nią wprost. Wspierała głowę na ręce ułatwiając sobie śledzenie kursora, który to przeskakiwał od znaku do znaku, to pulsował z zastanowieniem, to cofał się zjadając pomyłkę. Przypadkowa malowniczość pozy odległa jednak od pozowania, a godna portretu.

... oraz populacja pingwinów. Pingwiny zasiedlały wysokie skaliste wybrzeże wyspy, stromo podcięte, wietrzne, bez milimetra kamienistej nawet plaży. Było tak wysoko, że ewolucja doprowadziła ptaki do rezygnacji ze skoków do morza, gdy najodważniejsi z kolejnych pokoleń nie mieli drogi odwrotu na ląd po łowach w obfitych w ryby wodach.

Pan ma plan tego opowiadania, czy też czegoś, w co się ono rozwinie, wie pan jak to się skończy? Tak, mam ogólny zarys, coś w rodzaju puenty, reszta jakoś się wyłania. A to pierwsza próba czy pisał pan wcześniej. Piszę od dawna, zawsze, kiedy muszę się jakoś oczyścić z niewesołych przemyśleń, wiersze, opowiadania, wszystko. Mówił, prawie się zwierzał, na wszelki wypadek patrząc w monitor. I natychmiast wrócił do stukania jak do jedzenia ciepłej jeszcze zupy.

Pingwiny musiały zmienić swoje zwyczaje, przestawić się na inny pokarm. Z racji niewielkich możliwości intelektualnych nie mogły pocieszać się bohaterskim mitem założycielskim, nie badały okoliczności znalezienia się na izolowanej w tak okrutny sposób wyspie. Ludzie, którzy zajmowali interior, bo i dla nich morze nie mogło być użyteczne, opowiadali, że ich przodek wypadł ze szpon orła, i kiedy dorósł, dał początek ludowi o szlachetnych przymiotach.

Widzę, że uwielbia pan mitologię, ma pan archetypowe podejście. Tak, to prawda. Kiedy czytam o historii jakiegoś narodu, państwa, najbardziej ciekawi mnie, skąd się tam wzięli pierwsi ludzie. Tym razem opowiadał z mniejszym skrepowaniem i zwrócony w jej kierunku. Przybliżyła się jeszcze trochę. Teraz czuł zapach jej porannych perfum i dostrzegał więcej szczegółów na twarzy. Jestem ciekawa dalszego ciągu.

Gdy szedł ku śmiertelnie wysokiemu klifowi, ogarnęła go mgła, w której każdy krok mógł być ostatni. Mgła przybrała jednak kobiece kształty, upajającą woń i głos w nieznaną mowę, którym go uwiodła. Obłok został porwany przez wiatr, a zaczepiając o skały dzielił się na mnóstwo mniejszych i wydał potomstwo w ludzkiej postaci. Czy nie podobnie mogłoby być i z pingwinami? Jajo upuszczone przez orła, pęknięte podczas upadku, zapładniają krople życiodajnej wody o czarodziejskiej mocy...

Widzi pani, przez panią, a może dzięki pani, tekst się wydłuża, zaraz trzecia strona, a miało być półtorej, góra dwie. Udawał ton wyrzutu. Rzeczywiście, wydłuża się. A kulminacji ani widu, ani słyhu. Czyżby wszyscy mieli nagle zwałić się z tego klifu? A co z tymi południkowymi i równoleżnikowymi ludami, wymarły? Prawdła narracji nie pozwalają na ich porzucenie! Niemal piękna i nieprzystająca do urody fachowa. Ma pani rację, trzeba się będzie jakoś wyplątać.

Tymczasem ludność wyspy już od dawna wspominała złoty wiek, kolejne pokolenia uczyły się o nim w szkołach. Potrzeba przywoływania niegdysiejszej chwały stała się nagłą, przymusowa bowiem izolacja zanim sprowadziła klęski krzyżowania wsobnego, spowodowała skłócenie wszystkich ze wszystkimi. Echa tych awantur szybko dotarły do ludów rozpełzłych wzdłuż południków i równoleżników. W jaki sposób? Milczy o tym i historia, i mitologia. Zanosilo się na inwazję która mogłaby pokonać urwiska klifu. Linie podziałów przebiegały we wszystkich kierunkach, przecinały się w nieskończonej liczbie punktów i pod kątami po wielokroć wyczerpującymi zasób 360 stopni. Ostatni wrażliwi czuli się skłóceniami sami ze sobą. Zapanował zupełny chaos. Pingwiny stłoczone na przepaścistym obwodzie wyspy początkowo przyglądały się z lękiem i lądowi, i morzu. Później zaczęły balansować na krawędzi. Do jakich granic dojść musiało ich zniecierpliwienie, skoro w końcu... zerwały się do lotu.

Karkołomne, ale i zaskakujące zakończenie. Dał pan sobie radę, choć zabrakło czasu na rodzaj wytchnienia. W ogóle trzeba nad tym jeszcze popracować. Proszę kliknąć zapisz, wyłączyć i iść ze mną. Miała ciepłą, delikatną dłoń, która zostawiła na jego skórze trochę miłego zapachu. Dlaczego ja się tak mądrzę? Przeprowadzała go przez ulicę jak dziecko. Jestem redaktorką tu naprzeciwko, w wydawnictwie.

III nagroda

Marzena Nogiec – godło *Violet(t) and Scarle(t)*

Idol

D. знаła Idola od dawna. To znaczy jeszcze jako mała dziewczynka dowiedziała się, że urodził się w tym samym miasteczku co Ona i chociaż wkrótce zamienił spokój jego małych, przedwojennych uliczek na tętnicą nowoczesność „czegoś znacznie większego” – miasteczko jest z tego (i Niego) bardzo dumne. Zresztą Sam Idol, zwłaszcza gdy występował w pobliżu, podkreślał ten fakt (inaczej oczywiście rzecz się miała w innych miejscach – dla których zawsze także potrafił znaleźć Swój z nimi związek, ale rzecz jasna D. wówczas jeszcze o tym nie wiedziała). Wprawdzie opuścił miasteczko w wieku, w którym raczej nie mógł wiele z niego zapamiętać, ale zawsze przysparzało to oklasków na koncertach.

Potem D. opuściła także na jakiś czas to miejsce i spotkała swojego Ukochanego. Dziwnym zrzędzeniem losu Ukochany często dedykował Jej piosenki śpiewane właśnie przez Idola, co tylko pogłębiało w Niej Jego obraz jako Kogoś wyjątkowego, nadludzkiego i niezemskiego. A jeszcze później Ukochany przeminął, a D. z powrotem znalazła się w miasteczku, które mimo iż minęło dobrych kilka lat – niewiele zmieniło się, ponieważ należało do tych obszarów, których przeznaczeniem jest pozostać małym punkcikiem w topografii przygranicznych terenów (tak było od wieków średnich – kiedy powstało i w ciągu kolejnych stuleci nie było w stanie naruszyć tego constans). Nie zmieniły się też piosenki Idola – przynajmniej te najbardziej znane, starsze, a D. zapragnęła w końcu usłyszeć je także na żywo i zaczęła bywać na koncertach Idola (odkrywając, że dzieli z Idolem nawet podobny znak zodiaku ?!). Początkowo kupowała bilety w ostatnich rzędach, ale elokwencja, charyzma i czar jakie Idol wręcz rozsypywał ze sceny w stronę swojej Publiczności (bardzo specyficznej – ponieważ muzyka Idola, mimo iż kiedyś nawet próbował tzw. popowej kariery za oceanem, nie należała do

tej lubianej przez rozgłośnię radiowe czy telewizję, miała często „zadatki, misję i przesłanie”) coraz bardziej Ją ośmielały.

Aż w końcu przyszedł taki dzień, że D. postanowiła iż wreszcie po kolejnym koncercie ustawi się w kolejce po dedykację i autograf na jednej z licznych płyt Idola, jakie były w jej posiadaniu. Z mocnym biciem serca założyła więc swoją najlepszą sukienkę i spróbowała doprowadzić przynajmniej do częściowego porządku swoje niesforne włosy. Makijaż też był wyjątkowy – w pastelach i innych delikatnościach, chociaż na co dzień D. wołała być „bardziej poważna”. Już na sali, w trakcie kolejnych utworów to bicie serca mogło tylko jeszcze bardziej wzmacniać się. Apogeum osiągając w kolejce, w której tyle razy wyobrażała sobie, że znajdzie się i wreszcie naprawdę stała. Niemniej gdy wreszcie znalazła się przed obliczem swojego „bóstwa”, oprócz standardowego podania imienia „do dedykacji”, cichutko powiedziała także: „Jestem już dwudziesty raz na Pana koncercie”, nie oczekując raczej żadnej odpowiedzi. Nie spodziewanie jednak Idol podniósł wzrok znad podpisywanej płyty i ironicznie uśmiechając się zripostował: „To chyba już najwyższy czas przestać przychodzić”.

D. nie wie do dzisiaj w jaki sposób udało się jej wrócić wtedy do domu (może po prostu jest zbyt nadwrażliwa a może to ten... niecodzienny makijaż), ale długo potem jeszcze zastanawiała się czy winna tej całej sytuacji była Jej wyobraźnia czy też to, iż zdarza się, iż nasi Idole kreują fałszywy swój obraz na „potrzeby” własnych wielbicieli. Z tego co wiem raczej, przynajmniej na razie, nie znalazła odpowiedzi. I na kolejny koncert Idola nie wybiera się (nawet gdy minie epidemia) – bynajmniej nie ze względu na to co usłyszała od Niego – czasem po prostu lepiej jeśli nasi Idole pozostaną na swoich pomnikach i w swoim panteonie...

Wyróżnienie

Janusz Stanisław Czarnecki – godło *Stanisław*

Targ w Reus

Był rok 1866.

Targ w Reus miał swoją tradycję. Od pięciu wieków był głównym miejscem targowym w Baix Camp, gdzie ludzie prowadzili handel. Byli tu kupcy różnej narodowości: miejscowi Katalończycy, Włosi i Żydzi. Miasto Reus i okolice w piętnastym wieku było zniszczone przez epidemię. Zaraza rozprzestrzeniła się szybko, objęła okoliczne miejscowości, łącznie z pobliskim Riudoms, a nawet dotarła do Tarragony. Tarragona ściągała ludzi, a przede wszystkim jej religijny charakter z piękną gotycką katedrą Santa Maria, budynki romańskiej struktury i paleochrześcijański cmentarz oraz nadmorskie położenie.

Reus i Tarragon miały swój niepowtarzalny urok. Tarragona była większym miastem, a jej słynna katedra i umiejscowienie nad Morzem Śródziemnym nadawały mieszkańcom i przybyłym turystom transcendentne spojrzenie i wewnętrzny spokój. Reus był mniejszym, prowincjonalnym miastem, ale handel, który się tutaj rozwijał powodował, że coraz więcej ludzi z okolicznych miejscowości, turystów i napływowych przyszłych mieszkańców nie omijało tego miasta. Słynne były poniedziałkowe targi w Reus, gdzie gromadził się cały rynek hiszpański orzechów laskowych, migdałów, a także asortyment przemysłu tekstylnego i monopolowego. Handel alkoholem, napływ ludności i ciekawość zwiedzania urokliwych miejsc spowodował, że miasteczko kusilo rozrywkami, zwłaszcza przybyszów i ludzi młodych.

Na przeciwnej stronie miasta znajdowała się szkoła średnia pod nazwą Instituto Colegio de las Escuelas Pias de Reus, która mieściła się w starym klasztorze franciszkanów. W szkole, głównie o charakterze męskim można było przyjmować nauki do szesnastego roku życia.

Było wczesne popołudnie, a zajęcia tego dnia skończyły się nieco wcześniej. Trzej młodzieńcy wyszli ze szkoły. Byli w piętnastym roku życia. Eduardo Toda i Jose Ribera byli wysokimi, postawnymi, dobrze zbudowanymi chłopcami, trzeci z nich był inny: mniejszy, drobnej budowy ciała, miał pociągłą twarz, wąski nos, duże dobrze ukształtowane małżowiny uszne i bystre spojrzenie.

Eduardo zapytał go:

– Co dzisiaj robimy Antonio?

Chłopiec uśmiechnął się i rzekł:

– Planowaliśmy wybrać się do Tarragony.

Trzeci z nich Jose, wtrącił:

– A może, tak po drodze, zagłębimy na targ?

– Co chcesz kupić na targu? – zapytał Eduardo.

– Lubię stare antyczne przedmioty: zegary, stare książki, może lunetę...

– Lunetę? – zapytał Antonio.

Jose odpowiedział:

– Tak. Siedzielibyśmy nad brzegiem morza i patrzyli na płynące statki, na horyzont, w daleką przestrzeń.

Antonio odpowiedział:

– Nie jest mi potrzebna luneta. Mam umiejętność widzenia i zrozumienia przestrzeni.

Eduardo, który uwielbiał sztukę powiedział:

– Nie poróżnijmy się. Mieliśmy pójść do Tarragony.

Jose odpowiedział:

– To daleka droga.

– Może nas ktoś podwiezie? – powiedział Jose.

– Może – wtrącił z nadzieją Antonio.

Na chwilę stanęli. Patrzyli na siebie z uwagą.

Eduardo powiedział zachęcającym głosem:

– Byłbym za tym, aby pójść do Tarragony. Piękny krajobraz, przestrzeń i morze. Morze raz spokojne, łagodne raz wzburzone, gniewne. Byłem tam rok temu.

– Też byłem – rzekł Antonio.

Jose zapytał:

– A jacy są tubylcy?

Eduardo powiedział:

– Mieszkańcy Tarragony są tacy jak krajobraz: pogodni, czasami impulsywni, szlachetni. Mają społeczne usposobienie. Potrafią razem zrobić wiele ciekawych rzeczy. Oni są przeciwieństwem nas, Katalończyków, którzy mają w charakterze działanie indywidualne.

– Ciekawi ludzie. Chodźmy, ale najpierw obejdzimy targ w Reus.

Antonio zawtórował:

– Dobrze. W końcu jest on najbliżej nas.

Antonio lubił Tarragonę. Miasto było kawałkiem historii architektury hiszpańskiej. Były tam resztki starożytnych murów miejskich, budowanych jeszcze przez Iberów. Był teatr i amfiteatr, resztki dwóch forów rzymskich (prowincji i miejskiego), a także cyrku, na którym w I wieku p.n.e i później urządzano wyścigi rydwanów, obok były rozległe nekropolie z okresu III i IV wieku naszej ery. Pozostałości amfiteatru rzymskiego z II wieku leżą za murami, w pobliżu brzegu morza. W jego obrębie znajdują się ruiny kościoła zbudowanego przez Wizygotów. Na obrzeżach miasta znajduje się akwedukt rzymski zwany diabelskim mostem El Pont del Diable, który dostarczał wodę z odległego o ponad 30 kilometrów Gayo. Miasto miało paleochrześcijański cmentarz, proste wizygockie i romańskie struktury w budowie, a samym centrum była gotycka katedra Santa Maria. Ten piękny budynek kościoła był symbolicznym duchem wspólnoty i oddawał charakter lokalnej tożsamości religijnej.

Ruszyli przed siebie. Szli rzędem obok siebie, jak trzej muszkietierowie. Lubili tak chodzić. Byli dobrze rozumiejącymi się i życzliwymi dla siebie przyjaciółmi. Zwłaszcza Eduardo, który zawsze szedł blisko Antonio. Czasami patrzył na niego z dużym zainteresowaniem, ale i z troską.

Doszli do nowego budynku, Banc de Reus, zbudowanego cztery lata temu. Bank oferował pomoc kredytową, a zarazem czerpał zyski z handlu i rozwoju przemysłu. Minęło kilka chwil, kiedy weszli na targ i wmiszali się w innych ludzi, oglądających asortyment, ekspozycyjny na straganach i w małych amatorsko wykonanych pawilonach. Byli też indywidualni sprzedawcy oferujący zwierzęta gospodarskie, czy własne wyroby, takie jak: słoiki z miodem, ogórkami, grzybami, czy własnej produkcji konfitury.

Nagle zatrzymali się przy stoisku z książkami. Na długim prostokątnym stole leżały książki, albumy, zdjęcia.

Eduardo pochylił głowę i rzekł:

– Zobacz, Antonio. Książka z dramatem Zorilli, pod tytułem: *Don Juan Tenorio*.

Antonio zbliżył się i powiedział:

– O, tak. Tę sztukę wystawialiśmy w szkole.

– Ty malowałeś do niej tła i robiłeś rekwizyty.

– Tak – odpowiedział cicho Antonio.

Jose wtrącił:

– Lubiana książka przez księży. Sybaryta z Sewilli zostaje ocalony dzięki modlitwom cnotliwej Doni Ines. Książka z morałem, by ostrzec wrażliwych wychowanków przed niebezpieczeństwem seksualnej deprawacji.

Poszli kilka kroków dalej. Jose zatrzymał się przed straganem z łakociami:

– Jaka cena za woreczek orzechów?

Dobrze wyglądająca, nieco otyła, sprzedawczyni z rumieńcami na twarzy, popatrzyła na trójkę przyjaciół i odpowiedziała:

– Jak dla was, połowa ceny. Pewnie jesteście z miejscowego Instituto Colegio ze starego klasztoru franciszkańskiego. Macie dużo wiedzy, ale mało pieniędzy.

– To prawda – odpowiedział Jose.

Kobieta podała mu spory worek laskowych orzechów. Chłopiec wyciągnął kilka drobnych monet z kieszeni i położył na stole.

– Wystarczy – rzekła kobieta.

Zabrali zakup i patrząc na asortyment, opuszczali rynek. Wyszli na kamienistą drogę i szli poboczem. Szli szybkim krokiem w milczeniu.

Minęły dwa kwadransy i trochę.

Eduardo Toda spojrzął na Antonio i rzekł:

– Zmęczyłeś się.

– Trochę – odpowiedział cichym, nieśmiałym głosem.

Po chwili zaczął kaszleć.

– Zatrzymajmy się. Tutaj obok są dwa duże kamienie pod rozłożystym drzewem. Będzie trochę cienia i odpoczniemy.

Podeszli do kamieni i siedli. Antonio wyciągnął z torby butelkę z wodą. Wyciągnął korek, przyłożył butelkę do ust i łąpczywie pił. Siedzieli w milczeniu.

Jose wyciągnął worek z orzechami i położył na kamieniu.

– Częstujcie się. Targ w Reus był bardzo bogaty. W poniedziałki są tłumy ludzi.

Siedzieli i jedli w milczeniu orzechy. Antonio ponownie zakaszał, przykładając rękę do ust.

Eduardo rzekł:

– Nie zarazisz nas. Z resztą nie ma epidemii. Dawne czasy minęły.

– Prawda – odpowiedział kolega.

– Po prostu, Antonio; ty masz słabe zdrowie.

Antonio podparł dłoń swoją szczupłą twarz i powiedział:

– Zawsze byłem chorowity. Chorowałem, kiedy byłem w łonie matki. Matka mówiła mi, że źle czuła się w ciąży. Trzy miesiące przed moim urodzeniem straciła dwoje dzieci: pięcioletnią Marię i dwuletniego Francesca. Matka zawsze mówiła, że trudno było jej rodzić. Byłem piątym dzieckiem.

Eduardo zapytał:

– A tak naprawdę, to gdzie się urodziłeś? W szkole raz podałeś miasto Reus, innym razem miejscowość Riudoms.

Antonio uśmiechnął się i odpowiedział:

– Pozostawiam wam tę sprawę jako otwartą. Ojciec powiedział mi, że urodziłem się w jego warsztacie, zaraz za granicami miejskimi w Riudoms. Matka upiera się, że moim miejscem urodzenia było Reus. Wybierajcie.

Eduardo nie przyjął tej wypowiedzi za złośliwą, bo bardzo lubił kolegę, lecz zapytał:

– I co było z tobą dalej?

– Matka bała się, że umrę. Poleciała memu ojcu i kobiecie odbierającej poród, aby jeszcze w pierwszej godzinie życia, zanieśli mnie do pobliskiego kościoła Sant Pere Apostol.

– Co było dalej?

– Ponoć wróciłem spokojniejszy, a według matki silniejszy. Chętniej piłem z jej piersi i każdego dnia byłem bardziej chętny życia. Następne miesiące zapadałem na zdrowiu. Miałem nawracające gorączki, dreszcze i duszności. Rodzice często wzywali doktora i płacili mu niezłe pieniądze.

Chwilę zamilkli i pojadali orzechy.

Drugi z kolegów Jose, naprężył mięśnie na ramionach, popatrzył na nie i zapytał:

– Czy może szkoła dodała ci zdrowia?

Antonio odpowiedział:

– Nie tak było. Bardzo dobrze pamiętam pewne wydarzenie w moim życiu.

– Jakie? – zainteresował się Eduardo.

Antonio smutno uśmiechnął się i odpowiedział:

– Kiedy poszedłem do szkoły zachorowałem na zapalenie płuc. Choroba przebiegała ciężko. Nie wiem, czy dostałem ją od jakiegoś chorego, czy z przejęcia, że poszedłem wcześniej do szkoły. Wezwano lekarza, który kiedy dowiedział się o mojej przeszłości chorób i po zbadaniu mnie, powiedział, że niedługo umrę. Doskonale pamiętam tę zapowiedź przedwczesnej śmierci. Zrobiła ona na mnie ogromne wrażenie. Szybko postanowiłem przeciwstawić się tej diagnozie, a może wyrokowi.

– I co?

– Moja matka i babcia ciągle modliły się. Gotowały coraz to nowe porcje rosółu z młodej kury, a ja zdrowiałem.

– Wszystko zakończyło się dobrze?

– Nie. Po zapaleniu płuc dostałem obrzęki i bóle stawów. Nie mogłem chodzić. Zawozono mnie do szkoły na ośle. Trwało to kilka tygodni.

Antonio nabrał mocny wdech i powiedział:

– A wiesz, co najbardziej zapamiętałem z tej choroby?

Eduardo pokręcił przecząco głową i powiedział:

– Nie.

– Lekarz przepowiadał mi wczesną śmierć, jeśli nie będę odpoczywał.

– Jak zareagowałeś?

– Mój wysiłek skupiał się na pokrzyżowaniu planów lekarza.

Nagle słońce wyszło zza chmury, mocne promienie padły na kamień, który w niektórych miejscach iskrzył się i załamywał promienie. Było to tak wyraźne, że cała trójka przypaływała się temu zjawisku.

Eduardo powiedział:

– Te odbite promienie słońca robią wrażenie na otoczeniu transcendentności. Stają się niezbadane i niezrozumiałe. Widzimy w nich kilk wymiarową przestrzeń.

Antonio natychmiast odpowiedział:

– Posiadam umiejętność zrozumienia przestrzeni. Jestem synem, wnukiem i prawnukiem kotlarzy. Mój ojciec był również kowalem, podobnie jak dziadek. Dziadek ze strony matki był marynarzem. Oni także są ludźmi przestrzeni i okoliczności. Te pokolenia dały mi dobre przygotowanie.

– Stałeś się bardziej dojrzały – powiedział Eduardo.

Po chwili zapytał:

– Co sprawiało tobie największą radość?

Antonio zmarszczył brwi, zastanawiał się, następnie z radosnym wyrazem twarzy powiedział:

– Największą radość doznawałem w warsztacie ojca. Czasami byłem oniemiały, patrząc na to, co robił. Płaskie, miedziane blachy przekształcał w błyszczące naczynia. Właśnie u niego w warsztacie po raz pierwszy nauczyłem się rozumieć przestrzeń oraz czuć i myśleć w trzech wymiarach.

Eduardo na znak rozumienia przytaknął głową.

Jose zapytał:

– Co jeszcze robiło na tobie wrażenie? Czy tylko warsztat ojca?

Antonio pokręcił przecząco głową, mówiąc:

– Nie tylko warsztat. Z warsztatu jeździliśmy do Rudimos. Barokowy kościół Sant Jaume i Sant Pere robiły na mnie wrażenie.

– Bardziej, niż Montserrat?

– Nie. Montserrat z Czarną Madonną jest niezastąpiony.

Eduardo powiedział:

– Odpoczęliśmy. Możemy iść dalej. Daleka droga do Tarragony.

– Może nas ktoś podwiezie – wtrącił Jose.

Wstali i podążyli dalej. Szli poboczem, oglądając się za kimś jadącym, kto by ich podrzucił do nadmorskiej miejscowości. Szli nieco zmęczeni, a ich nadzieje na spotkanie kogoś jadącego były coraz mniejsze.

Nagle zobaczyli na poboczu ławkę.

– Siadajmy – rzekł Eduardo i dodał patrząc na Antonio: czy nie jesteś zbyt zmęczony?

– Nie.

Cała trójka siadła na ławce.

Eduardo powiedział:

– Mam zapas wody w butelce. Może napijesz się?

– Dziękuję, chociaż niedużo mi pozostało.

Eduardo wyciągnął z plecaka butelkę i podał koledze, mówiąc:

– Masz moją. Napij się.

– Dzisiaj były intensywne lekcje: greka, łacina, historia...

– Nie wspominałeś o geometrii, która przychodzi ci z niezwykłą łatwością.

Antonio odpowiedział:

– Przestrzeń i trzy wymiary to jest to, co czuję i rozumiem.

Jose skrzywił się i powiedział:

– Dlaczego wracamy myślami i problemami do szkoły?

Eduardo natychmiast odpowiedział:

– Nie myślę, aby wszystko napawało ciebie niechęcią. Czy nasza szkolna gazeta nie sprawia tobie przyjemności?

Kolega odpowiedział:

– „El Arlequin” jest bardzo udany, zwłaszcza, kiedy ilustruje go Antonio. Prawda? Antonio kiwnął głową.

Siedzieli na ławce, patrząc raz przed siebie, drugi raz na drogę, wypatrując podróźnych jadących do Tarragony.

Eduardo spojrział na siedzącego obok kolegę i zapytał:

– Dobrze się czujesz?

– Tak.

– Trochę zmęczony?

– Tak.

– Ładnie malujesz tła do sztuk teatralnych wystawianych w szkole.

– Na przykład? – zapytał Antonio.

– Don Juana Tenorio.

– Chyba zafascynowałeś się malarzem Mariano Fortuny’ m.

– Trudno nie zafascynować się nim. Geniusz.

Chwilę milczeli.

Antonio spojrział na siedzącego obok kolegę i powiedział:

– Dbasz o mnie, jak o brata, a może nawet bardziej.

Eduardo Toda delikatnie uśmiechnął się i rzekł:

– Jesteś dla mnie więcej, niż bratem. Mam propozycje. Ślubujmy sobie przyjaźń, prawdziwą przyjaźń. Taką aż do śmierci.

– Ja ciebie też lubię. Dlaczego mamy ślubować przyjaźń do śmierci, a może przyjaźń na zawsze?

– Co to znaczy na zawsze? – zapytał ze zdziwieniem Eduardo.

– Przyjaźń na wieczność. Jest dłuższa, niż ta przy ślubach.

– Rozumiem. Podaj mi rękę. Ślubujemy sobie przyjaźń na zawsze, na wieczność.

Wstali i uścisnęli sobie dłonie. Antonio chwycił atak kaszlu. Kaszłał z krótkimi przerwami, jakby chciał coś odkrztusić.

Nagle Eduardo spojrział na swoją dłoń i rzekł:

– Masz gorącą rękę. Pozwól, że dotknę twoje czoło.

– Dobrze.

Patrzyli na siebie i Eduardo powiedział:

– Antonio. Nie możemy iść do Tarragony. Masz gorączkę. Myślę, że jesteś chory.

Chłopiec wzruszył ramionami i odpowiedział głosem bez emocji, jakby to było któryś raz:

– Być może, być może.

Szli powoli drogą powrotną. Minęli targ w Reus. Handlowcy zbierali się do opuszczenia targowiska i składali towary do dużych brezentowych worków.

– Odprowadzimy ciebie do domu – powiedział Eduardo.

Antonio skinął głową. Szli nadal powoli. Po dwóch kwadransach doszli do carrer San Vicenc.

Stanęli przed czteropiętrową kamienicą. Zobaczyli w oknie na czwartym piętrze wychylającą się kobietę, która głośno mówiła:

– Antonio. Mówiłam ci tyle razy, abyś zaraz po szkole wracał do domu. Zupa jest już zupełnie zimna.

Chłopcy stanęli przed bramą kamienicy. Antonino wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył drzwi. Powoli wchodzili wysokimi schodami na czwarte piętro. Kiedy zatrzymali się na górze zobaczyli, że matka Antonia stała w otwartych drzwiach.

– Kiedy to się wraca do domu? – krzyknęła.

– Byliśmy w szkole. Lekcje były trudne. Chcieliśmy odpocząć i przejść się drogą.

– Lepiej, aby Antonio więcej uczył się w domu, a mniej rysował. Zobacz. Tutaj są cztery bloki rysunków Antonia. A laurka? Jaka? – i dodała: nie najlepsza – zaraz poszukam.

Eduardo popatrzył na kolegę i powiedział:

– Może ja już pójdę.

– Poczekaj. Ślubowałeś mi największą przyjaźń – powiedział, patrząc mu w oczy.

– Nie... największą miłość..., nie tobie... – odpowiedział Antonio.

Eduardo miał zmieszany wyraz twarzy i zapytał:

– A komu ?

Antonio podniósł ku górze głowę i odpowiedział:

– Bogu.

W tym momencie weszła do pokoju matka chłopca i powiedziała do Eduarda.

– Przeczytaj oceny na koniec roku z ostatniej klasy. No... czytaj...

Eduardo z powściągliwością, chcąc, nie chcąc, wziął do ręki laurkę i czytał.

Zaczął od najlepszej oceny:

– Geometria celująco. Greka..., łacina..., retoryka średnio...

Kobieta przerwała mu i powiedziała:

– Przeczytaj od góry, żeby nikt nie miał wątpliwości, czyja to laurka.

– Dobrze, proszę pani.

Eduardo podniósł ku górze oczy i wyrecytował imię i nazwisko kolegi:

ANTONIO GAUDI.

Wyróżnienie

Zbigniew Kostrzewa – godło *Dudek*

Próba odmłodzenia

Monolog z akcentami absurdu, niezupełnie prawdziwy.

Postanowiłem się odmłodzić. Mam te swoje 70 lat, więc chyba najwyższa pora. Zdecydowałem, choć to pionierska decyzja – podobno jakiś holenderski śmiałek już próbował, ale bez rezultatu.

Sama metoda jest prosta, wręcz prymitywna, ale jednocześnie widać na tyle skomplikowaną, że jak do tej pory, nikomu na świecie to się nie udało.

Najpierw napisałem do naszego, lokalnego sądu rejonowego podanie z prośbą o zmianę swojej daty urodzenia z 14-go października 1944 roku na 14-go tegoż samego miesiąca, ale 1964 roku. Będę więc młodszy o równe dwadzieścia lat. Dołączyłem odpowiednie dokumenty z aktem urodzenia jako głównym.

Po miesiącu otrzymałem zwrot całej mojej dokumentacji z pismem odmawiającym wszczęcia postępowania, z jednoczesną sugestią rozpoczęcia leczenia w najbliższej poradni zdrowia psychicznego.

Nie skorzystałem z sędziowskiej porady i w ramach odwołania dokumenty przesłałem tym razem do sądu okręgowego. Po miesiącu sytuacja o tyle się powtórzyła, że sąd nie wszczynając postępowania zasugerował mi mniej ni więcej, tym razem leczenie zamknięte, uznając mnie najwyraźniej za niebezpiecznego dla otoczenia.

Dość, nie ze mną te numery. Zrezygnowałem z dalszych kontaktów, choć znajomy adwokat sugerował nawet sąd najwyższy. Ale ja postanowiłem pójść nową drogą i zaryzykować, jeśli już wyrok, i jeśli sąd, to tym razem tylko... Sąd Ostateczny.

Zacząłem od parafialnej kancelarii, w której księgach znajduje się oryginalny wpis z moją datą urodzenia, nie mówiąc już o akcie chrztu, bierzmowania, czy nie daj Boże małżeństwa, choć akurat ten ostatni będzie mnie i moją młodą żonę bardziej interesował, z chwilą odzyskania średniego i jak to się mówi, jeszcze produkcyjnego wieku. Tym bardziej, że żona wciąż mi przypomina o dawnych, dobrych czasach, kiedy jak mówi, w sypialni „trzęsienie ziemi” nie należało do wcale rzadkich kataklizmów. Miała na myśli, oczywiście seks i to średnio 7–8 w skali Richtera.

Po opłaceniu należnego wadium, proboszcz przyjął dokumenty warunkowo, sugerując, że sprawa już na samym początku wydaje mu się trudna, ale nie ma rzeczy niemożliwych, nie mówiąc już o cudach, czy samym cudzie jako takim, który może się zdarzyć także w mojej sprawie. Zapewniłem w związku z tym przewielebnego, że w przypadku koniecznych dalszych, prawdopodobnie większych kosztów związanych z postępowaniem, jestem gotowy pokryć je w całości, bez potrzeby rozkładania na raty.

Byłem dobrej myśli, tym bardziej, że organista, który jednocześnie prowadzi kancelarię, póki co nie ma szczęścia w totolotku, a i weni creator też już coraz rzadziej przychodzi mu śpiewać, więc chyba i większym groszem by nie wzgardził.

Ale pech chciał, że organista, nie uwierzyście, w ostatnim losowaniu trafił szóstkę, na dodatek była kumulacja, no i jak tę szóstkę trafił, to i szlag całą sprawę trafił. I jak powiedział mi proboszcz, w tej sytuacji, organista szczęśliwie uniknął piekielnego wyroku Sadu Ostatecznego. Bo co jak co, ale korupcja jest karana prawie na równi z takim choćby cudzołóstwem. Organistę uratował od piekła totolotek. Na pocieszenie proboszcz dodał jeszcze, że dopłacać już nie muszę, ale i na żaden zwrot, przynajmniej części kwoty, też nie mogę liczyć, bo pieniądze poszły na opłacenie pielgrzymki dla gospośi na Kanary i Tajlandię. I poradził szukać ratunku gdzie indziej, bo cudu widać godny nie jestem.

Co robić? Żona wyraźnie zaczęła się niepokoić i na razie zdradzać, ale tylko objawy zniecierpliwienia tą przedłużającą się sytuacją. Przeniosła się do sypialni na piętro, zaczęła odbierać coraz więcej jakichś dziwnych, niezrozumiałych dla mnie telefonów, stała się nerwowa, wybuchowa i w ogóle jakaś inna.

Jak to się stało, nie wiem do dzisiaj? I jak i kto mi o tym powiedział, też nie wiem. Grunt, że tym razem z nadzieją na pełny sukces, przystąpiłem do dzieła.

Pani w średnim wieku, miła i sympatyczna, wprowadziła mnie do swojego tajemnego gabinetu, pełnego dziwnych zapachów dymu i kadzideł, w którym panował półmrok i cicha, dyskretna muzyka, która niewiadomo dlaczego, przypominała mi jedną z fug Bacha. Ale co tam fuga, fuga nie fuga, grunt że Bach...Bach...

W pierwszej chwili poczułem się dziwnie nieswojo. Ale w miarę upływu czasu wydawało mi się to wszystko stawać nawet miłe i sympatyczne. A kiedy pani podała mi puchar z perlistym „eliksirem młodości” i zacząłem go powoli kosztować i spijać jak prawdziwie boski trunek, ogarniała mną jakaś dziwna, obezwładniająca aura, jak z zaczarowanej baśni i powoli odpływałem w niebiański świat, jakby mnie unosił na swoich skrzydłach jakiś anioł rozkoszy, albo sam boski Eros. Zasnąłem na tapczanie pod baldachimem.

Obudził mnie poranny, radiowy głos spikera: Nadajemy komunikat nadzwyczajny: Wczoraj w godzinach wieczornych, zaginęło niemowlę płci męskiej w okolicach osady Lipki nad Wisłą. Poszukiwania trwają. Nurkowie przeszukują rzekę, jak na razie bez rezultatu.

I w tej samej chwili do pokoju weszła... moja żona. Pierwsze słowo jakie powiedziałem na powitanie to było: Mama! A ona, wzięła mnie na ręce, przytuliła i po chwili zaczęła karmić piersią. Widać musiałem być bardzo głodny.

I tak się zaczęło – karmienie piersią, wspólna kąpiel w wannie, ząbkowanie, raczkowanie, smoczek, wspólne leżenie na brzuszku, *et cetera*.

Ale przyznam się, że wciąż nie lubię smoczka i nie przepadam za raczkowaniem. Wolę wspólne leżenie na brzuszku.

Wyróżnienie

Stefan Trzos – godło *Tęczowa Julenka*

Podwórko

Wąskie gardło pnące się ku niebu. Po lewej kawałek wolnej przestrzeni z widokiem na dachy dwupiętrowych, ustawionych w kwadrat kamieniczek. Nad nimi, o wyciągnięcie ręki fragment Wawelu z basztą „Zygmuntowską” i spizem przezierającym przez okratowane okna.

Gdy dzwonił – przywoływałem w myśli „Wesele” Wyspiańskiego. Wystarczyło wyjść wtedy na niewielki balkon i wsłuchiwać się w serce rozedrgane w spiz, łączywie chwytając najdrobniejszy dźwięk, tęskniąc za każdym następnym.

Bo przecież wystarczyło spojrzeć w kierunku Wzgórza, by poczuć Polskę. Uczucie tak naturalne, wrażenie, które mogłeś trawić w samotności, lub dzielić je z innymi. Polskę czuło się w miedzianym, pokrytym patyną przeszłej już historii i współczesnego smogu kwiatonie wieńczącym wieżę. Ten niczym puszka Faradaya – skupiał uczucia narodu i chronił przed dziejowymi burzami.

„A toć bije on i dziś, gdy czujemy, co nam drogie” – tak można było przywoływać frazę z „Wesela”. Wówczas częstość kołysania można było policzyć na palcach jednej ręki – czekało się nań z utęsknieniem. Pomijając pochówki Wielkich, tradycyjnie towarzyszył majowej procesji do grobu Św. Stanisława. Ta, krocząca całą szerokością ulicy Krakowskiej, zastawała nas z głowami wychylonymi przez wykusz kamienicy – kilkumetrowy prześwit w jej skrzyżowaniu z ul. Meiselsa, pozwalał sycić oczy czerwienią i purpurą biskupio-kardynalskich szat, a uszy chóralnym śpiewem wiernych. Dźwięk „Zygmunta” wdzierał się w ten rwetes, przedzierając się nad kominami, przyciszony, jakby zakrztuszony drobinami sadzy.

Popołudniowy wiatr uparcie hulał jeszcze w płatkami kwiatów wyspanych przez komijnje dziewczęta.

Ruch kołowy był wtedy niewielki – pojedyncze Syrenki i Warszawy sporadycznie przejeżdżały w dole, zamknięcie ulic nie zakłócało tedy płynności toczącego się życia. Było luźniej, swobodniej.

Róg ulic Krakowskiej i Meiselsa. Zbieganie się dwóch światów. Przemieszanie dwóch kultur.

Dopiero dziś w dobie dopiero co otwartego Muzeum Żydowskiego, wielu uzmysławia sobie, że przecież kultura historii tego narodu mogła rozwijać się i zapełniać swe karty także i dlatego, że nie kto inny, jak polski król, pozwolił znanym z „kulturalnego Zachodu” osiedlić się i żyć tu swobodnie przez kolejne setki lat.

Samo nazwisko żydowskiego patrona uliczki mówiło niewiele. Było jedną z nazw kilkunastu jej podobnych, przecinających żydowski Kazimierz.

Przez okno widziałem stragany na Bawół Placu, zamienionym na kilkanaście dni w płonący Kaliniec z „Nocy i dni”, dym świec dymnych niósł się wtedy po najwyższe piętra drapiąc w gardle. Tam była szkoła, do której miałem uczęszczać.

Tam stała Synagoga – dziś masakrowana wulgarnymi treściami graffiti.

Tam pobudowano kościół Bożego Ciała – architektoniczne arcydzieło zachwycające artystycznym bogactwem.

Dziś – w dobie internetu – mogę przeczytać wreszcie notkę o Rabinie Meiselsie. Biografię, która uzmysławia, iż kulturowe różnice nikną wówczas, gdy łączy wspólny cel i zgodne, zbiorowe działanie.

Szkoda, że kilkadziesiąt lat wstecz nie było możliwości samodzielnego odkrywania tajników historii – w czasach „jedynie słusznych” nie zmieniono nazwy ulicy pewnie wyłącznie dlatego, że Rabin zwalczał carat, a nawet – na znak solidarności z prześladowanymi polskimi katolikami, zamknął synagogi.

Południową granicą Podwórka były ściany oficyny od strony ul. Krakowskiej. Wschód wychodził na prostopadłą ul. Meiselsa.

Zatem w kwadracie (a właściwie literze L, bo taki kształt miało to miejsce), mieściły się „rogatki dwóch światów i dwóch kultur”.

Odpadające tynki odsłaniały nadzarte zębem czasu zarysy cegieł. Sięgając okiennych parapetów, tworzyły wrażenie mocno poobijanej twarzy. Okna sąsiadujących mieszkań były umieszczone tak blisko siebie, że na przypadkowym widzu mogły stwarzać iluzję „jedni czasoprzestrzennej”. Miało się faktycznie wrażenie, że to wspólny świat, zamieszkiwany przez ogromną rodzinę o jednym nazwisku.

Czeluść podwórzowej studni była na tyle wąska, że – mimo trzepaka – nie było możliwości wspólnego tam bawienia, zwłaszcza, że do bulwarów wiślanych – o ileż bardziej atrakcyjnych i na tle podwórza nieskończenie przestrzennych, było raptem czterysta metrów, w dodatku wiodły ku nim nieskalane wtedy jeszcze tramwajową linią krakowskie Planty.

W narożu „studni” kilka pojemników na śmieci – wtedy jeszcze blaszanych okrągłaków o hałaśliwych klapach, których stukot budził każdego rana, jako że trzeba je było wytaczać na ulicę – śmieciarka nie miała tu bowiem bezpośredniego dostępu.

Szczury panoszyły się po tej wiecznie zastawionej „stołówce”. Wyzbyte zupełnie lęku przed ludźmi, bezczelnie ocierały się o nogi przechodniów i wyławiały co smakowitsze kąski, osiągając łatwo wielkość średniego jamnika. W nas – jeszcze dzieciach – budziły prawdziwy lęk.

Jedyną „rozrywką” było ciskanie w nie z balkonu trzeciego piętra tym, co wpadło w ręce, a co było zależne od pory roku. Wiosną i latem leciały ku nim ogryzki/pestki owoców, jesienią nadgniłe ziemniaki, a zimą drobne bryłki węgla wnoszonego mozołnie wiadrami dziei w dzień, by do woli napalić w piecu. Szczury uciekały w popłochu z piskiem a potem – już w piwnicy, rewanzowały się nam za tą nierówną wojnę, wszczynaniem nieoczekiwanego rumoru. Przemykając się pod ścianami korytarza, buszując pośród słoików z przetworami, budziły odruchową odrazę – zdarzały się przypadki ukąszeń skutkujące szczepieniem przeciwko wścieklicznie.

Latem podwórkowy upał otwierał wszystkie „studienne” okna.

Wąskie przestrzenie wielokrotnie dźwięki. Zdać by się mogło, że jest się wręcz w pomieszczeniu, z którego dochodzą te głosy. Słysząc było pobrzękiwanie sztućców, szum wody w zlewozmywaku, dyskusje toczone przy stołach, w pokojach, na samym podwórku wreszcie.

Świat skurczył się oto do wspólnoty spraw i problemów.

Podwórko stało się zwierciadłem i rezonatorem życia – jakimś rodzajem teatralno-manifestacyjnej tuby, która przyciągała uwagę nie z powodu wścibstwa, ale nieuniknionego przymusu przypadkowego świadectwa istnienia.

Ludzie żywali się ze sobą z dnia na dzień. Wiedzieli o sobie więcej, niż można przypuścić.

Nigdy nie spotkałem się z sytuacją, by ktokolwiek taką – często jakże intymną wiedzę – wykorzystał do niecnych celów.

Nierzadko też byłem świadkiem sąsiedzkiej pomocy – a to ktoś pomógł komuś w sprzątaniu, a to w zakupach, a to mniej zamożnemu podrzucił coś „na ząb”, a to przydźwigał wiadro miału.

Przedzieleni ścianami, odgrodzeni – już tylko pozornie drewnianą ramą okien i prześwietem szyb, przez które nikt wścibsko nie zaglądał wieczorem, szanując intymność innych, byliśmy faktycznie jedną wielką rodziną.

Tam, na zewnątrz był świat dwóch kultur, które przez setki lat budowały tożsamość, stapiając je w jedność, jak ornamenty barcelońskiej Sagrady Família. Też pozornie chaotyczna, była przecież wkomponowana w całość w sposób niemal doskonały.

Tu – po wewnętrznej stronie był jeden świat – wypadkowa tak wielu bytów.

Podwórkowy rezonator odbijał go od odrapanych murów, ucząc współczucia, szacunku, miłości także.

Dźwięk trzepanych dywanów odbijał się echem od ścian.

Trzask drzwi od „przechodki”, gdy ktoś skracał sobie drogę spiesząc gdziekolwiek.

Stukot obcasów o kocie łby krakowskiego podwórka.

Pewnie i dziś mieszkają tam głodni.

Pewnie i dziś ktoś czeka wsparcia.

Pewnie i teraz latem wszystkie okna zapraszają do wnętrza.

Tu i teraz istnieją przecież dwa światy.

Tylko wrażliwość zapodziła się gdzieś pośród cichych, plastikowych kontenerów na śmieci.

A może zjadły ją szczury wielkości ludzi...

ISBN 978-83-955228-3-3

Unia Polskich Pisarzy Lekarzy

2020

